Nr. 9. Lwów, dnia 30. września. 1896 Rok XIX.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

# CIETRZEW.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

## I.

(Skromne życzenia dawnych ludzi. — Cietrzew gałązką oliwną. — Obrazki z igrzysk. — Odmiany scen igrzyskowych pod wpływem rozmaitych warunków. — Łowy na igrzysku.)

Skromne życzenia mieli dawniej ludzie: „Nie chcę, by miał nasz szlachcic więcej tylko jedną wieś a dobrą, sto w niej kmieci a rządnych, na dziedzinie urodzonych, k'temu ograniczoną, kościół w niej murowany, pewnym płotem nadany, swym tylko ludziom farę, młyn z trzema kół tuż przy wsi, folwark z dawna sporządzony, browar bliżej od dworu, coby raz wraz zawarzał, tuż przy browarze drewnik a w tyle chmielnik, ogród przy tem za kuchnią, gumno zawsze jako gaj, oborę jak natknął. Niech obejmą dziedzinę mytne lasy po dwu stron, spustne stawy po trzeciej, a łąki z jednej. Kraj żyzny więc spokojny, wodę dobrą, drewno bliskie, w mili, a choć dalej niech będzie spustna rzeka, miasto nad nią składne, rządne, bogate, zgodne, w nim niech ma kamienicę i o swych rzeczach handel". (Gospodarstwo r. 1588 str. 105 także złotą zwać się mogąca księga).

Dziś, gdy wiele z tych życzeń stało się nader kwaśnem winogronem, inne dzięki Bogu stoczyły się raz na zawsze na karty dziejów jako pobożne wota przeszłości, dodam tu jako nader skromną kompenzatę malutki specyalik, który Anzelm Gostomski wojewoda rawski XVI. wieku jako zawzięty agronom lecz niemyśliwy pewnie lekceważył, oto: niech tam koło tych lasów i stawów na łąkach co wiosny grają cietrzewie! To przecież drobnostka, której, jak sądzę, nie będą mieli już nic do zarzucenia nietylko teoretyczni nieprzyjaciele zwierzyny, dybiący z drobnowidzem za najmniejszemi i często urojonemi jej przestępstwami, ale nawet, i co jest najważniejsza, nawet posłowie Bojko, Średniawski, Wójcik etc. Tego zaś ostatniego upewnić mogę, że nie mieliby nic przeciw temu nawet z grobu powstały Karol Wielki, niemniej nieznane mi zupełnie prawo polowania w Norymbergii (?), o których ten nieprzyjaciel łowiectwa tyle ciekawego umiał wypowiedzieć.

Ale spij spokojnie wielki Karolu w twej krypcie Akwisgrańskiej! Niedość, że sławy chciwy Otto III. poturbował twój wieczny spoczynek, mamyż jeszcze przy każdej sposobności, gdy chodzi o zająca lub cietrzewia, naruszać twe prochy? Jeszcze gdyby chodziło o tego przebrzydłego kopyrę ladaco, zjadającego kapustę, ogryzającego szczepy i td. i td. i td., którego jednak mimo wrzasków, wszyscy bardzo

mile widzą, bo jedni się nim bawią, inni biorą pieniądze, a jeszcze inni nie mogą się nacieszyć jego pieczystem! Ale tu mowa o cietrzewiu? Wszak to istna gałązka oliwna na tem polu, gdzie każdy na znak ochoty do waśni i walki stroi jego lirą kapelusz, podsuwając się całkiem bezwiednie pod krytykę satyry Juwenala: „*Dat veniam corvis vexat censura columbas*“.

Gdy popatrzymy na tę kurę dziką przez silnie powiększające szkła, no, to i ona nie jest bez winy. Wprawdzie głównem jej przeznaczeniem jest objadanie pęcza drzew wyrosłych na gruntach t. zw. „obszarników“, ale czasem, w piękny dzień letni, skusi ją i praca ludzka, pójdzie poparpać na pole, poskubie nieco trawki, połknie kilka koników polnych, a wreszcie - o zgrozo! — zje kilka ziarnek hreczki, owsa, pszenicy lub żyta... Ale to darmo! takie już prawo natury: „ptacy ni sieją ni orzą, a przecież ojciec niebieski żywi je“. Nie potrzebuję dodawać, że przy tych agronomicznych wycieczkach nie ma kura najmniejszego wyobrażenia o ewidencyi ksiąg gruntowych i o zaszłych tam zmianach.

Uważając *clara pacta* zawsze i wszędzie jako najwygodniejszy most porozumienia, naprowadzam tu drobiazgi pomijane zazwyczaj w literaturze, którą już z góry o stronniczość posądzają. Takie sprowadzenie rzeczy do właściwej miary wyjść może tylko na korzyść sprawy, a w każdym razie bezstronny głos doświadczenia może zda się przy dobrych chęciach tym wielu powołanym, pośród których jednak tak mało się znajduje wybranych do dysputy o kwestyach przyrodniczych. Chłopski rozum, jak mówią, to rzecz bardzo dobra i praktyczna, lecz ostatecznie to zawsze tylko wykwit poziomych i egoistycznych instynktów ludzkiej natury; gdy jednak chodzi o ochronę cietrzewia i jakąś skuteczną nad nim opiekę, to i ten rozum wystarcza, bo cietrzew z natury swej przebywać lubi na takich obszarach, które w ewangelii katastralnej dawnego autoramentu nazywały się rozmaicie np. *Hutweide mit Gestrüpp*, albo *Wiese mit Holznutzen*, a których ogromne obszary znajdują się w posiadaniu gmin. Tam ten ptak niewinny mógłby w bardzo wielu okolicach prosperować doskonale, gdyby mniej jajecznicy z kur dzikich jadano w tych stronach i gdyby nie znęcano się nad płodem. W najgorszym razie wydzierżawianie igrzyskowych łowów takim oryginałom, którzy o coś podobnego ubiegać się zwykli, przyniosłoby pojedynczym gminom więcej korzyści, niż wyrządzić mogą rolnictwu szkody wszystkie razem cietrzewie w kraju. Szeregi amatorów takich łowów zwiększają się coraz bardziej w przygniatającej atmosferze naszych czasów, i chętnie oni zapłacą dobrze za takie niepozorne delicye, wymagające do rozkwitu jedynie gościnności i rozumnej opieki.

Poświęciłem już kilka kart w mych pracach szlachetnym „zakonnikom“ naszych puszcz leśnych, teraz samo poczucie sprawiedliwości przypomina mi mniejszą ich brać, i słusznie należy się tym trubadurom czarnopiórym nieco miejsca w księdze wspomnień, a wiele sympatyi tym przejawom romantyki natury w czasach, gdy coraz to więcej realnych podlew i chłodnych sosów utylitaryzmu ma służyć za karmę stroskanemu umysłowi.

*
* *

Dawno już cię nie widziałem uroczy spiewaku! Jakiś los kulawy zagnał mię w pustynię, gdzie ani słychu o tobie, tak, że zmuszony jestem cofnąć się myślą w przeszłość, skąd widniejesz mi może w nadto jaskrawej sukience, a ogniem cynobru błyszczą twe korale i jako pieśń nad pieśniami dolatuje twa gra powabna z głębi nadstyrzańskiej puszczy...

Treściwy i tak już sezon wiosenny bogacą jeszcze łowy na igrzyskach cietrzewi, wybijając się w pewnych miejscowościach na plan pierwszy. Późnym już wieczorem dowlókłszy się do domu po nieprzebytych błotach z ciągu słonek, czuję, że mnie trawi nowa gorączka. Gdzieś tam daleko w zupełnie innej stronie już od dawna rozegrały się cietrzewie; czy później czy też wcześniej, jeszcze w majakach nocy, podoba się zjechać tym ptakom na obrane igrzysko, któż to przewidzieć może? Nie ma zatem rady, trzeba się wlec dalej; lepiej wcześnie niż zapóźno, bo to udaremni wszelkie trudy i ofiarę nieprzespanej nocy.

„A bodajby ta durna ptycia wże zahynuła“ — murkocze Iwaś rozespany i zaprzęga do nader sędziwej jakiejś kałamaszki, niemniej sędziwych i wytrawnych parę szkapiąt, a co jeszcze zresztą wyspiewuje w tej chwili dusza Iwasia o zwaryowanych swych panach, tego tylko domyśleć się można, bo gęba milczy i cały wehikuł zajeżdża już przed ganek. Ba! — lecz Iwaś już nie w najgorszym humorze.

W pierwszej chwili zrzędził, podniósłszy się z miękkiego posłania, bo to było za raptowne przejście — ale teraz wywija batogiem, odpowiada „zdorow!“ gdy koń parsknie, i otrzeźwiwszy się do reszty, może już błogosławi tę „ptycię“, a nadzieja jakiegoś namacalnego ekwiwalentu za niewczasy rozpędza do reszty czarne demony nocy.

A było tam co rozpędzać, bo w okół wszystko czarne jak smoła, tak, że dopiero po przymusowej ciuciubabce kałamaszka się napełnia i — jazda! Iwaś upewnia, że to tylko „z początku tak temno wid świtła“. I w samej rzeczy jazda rozpoczyna się doskonale, ale potem — no, tego nikt nie widział, bo to dla oka nieprzystępne, a co nieraz na własnych kościach wyczułem, tem nie chcę nikogo ani we wspomnieniach maltretować.

Myślałby kto, że po za tą ciemnią, po przebyciu tego szlaku najeżonego pniakami, odnogami korzeni, przerwami błotnistemi w borze sosnowym, jako nagroda przebytych cierpień, rozłożą się conajmniej elizejskie pola. Ale gdzie tam! Minął się bór, zamajaczyło jakieś jaśniejsze nad głową sklepienie, a wehikuł wytłukuje dalej po pniakach zrębu, albo od czasu do czasu wprowadza do nasiadowej kąpieli, brodząc przez wypełnione wodą wiosenną jaruchy. Lecz wszystko na świecie ma swój koniec, szczęście i niedola — zwiastuje to „Prrr...“ Iwasia, który doskonale obeznany z lokalną topografią i oryentując się rachowaniem przebytych jaruch i rowów, stanął u celu tej piekielnej jazdy. Stąd już piechotą, utykając na karłowatej zarośli, ślizgając się po dywanie świniuchy (*Nardus*), to znów przedzierając się gęszczą starej modrzewnicy (*Andromeda*) i wrzosów, dochodzi się do upragnionych budek.

Gdy tylko ustał szelest kroków, z ciemno-szarego otoczenia, na którem rysują się nieznacznie tylko jaśniejsze i ciemniejsze pasma, dochodzą rozmaite głosy. Nie ponura śmierci cisza, ale uroczej nocy wiosennej życie tętni ze wszech stron. Z nasiennika na zrębie śmieje się serdecznie puszczyk, nad głowami przeciąga kracząc ślepowron, a od ciemnego pasma gaiku olszowego, nad brzegiem rozlanej rzeczki, brzmi donośny acz nieco chrapliwy spiew podróżniczka (*Cyanecula leucocyana*). A musi być tam mnóstwo tych przepięknych trubadurów o turkusowej piersi, bo chwilami brzmią całe chóry i wzdłuż koryta rzeczki oddala się i rozpływa ich muzyka nocna.

Na wschodzie już jaśniejsze nieco ukazują się pasma, pierwszy brzask dnia wschodzącego wpada w cienie lasu

i budzi się nieomylny herold Apollina. Już dzwoni tam swą krótką piosnkę przebudzona ziemba, z sitowia huczy bąk potężnym głosem, z dalekich łóz rozdziera powietrze przeraźliwy wrzask żórawia i coraz to wyraźniej rysują się kontury okolicy.

Wtem, gdzieś z oddali, od strony lasu dolatują jakieś całkiem oryginalne dźwięki; niby jakaś chińszczyzna zabrzmiała na tle osłuchanej harmonii natury. To on — to odezwanie się cietrzewia — dominuje ono teraz nad wszystkiem i ześrodkowuje w sobie uwagę jak na ciągu słonek krzeczenie i chrapanie tego długodzióba.

Niech sobie teraz krzyczy jak chce leśna i błotna gawiedź — niechaj bębnią i tikutają kszyki, niech huczą gołębie, niech świstają kosy swą piosnkę radosną, ba — i ty powabny długodzióbie możesz sobie bezpiecznie chrapnąć nad budką myśliwego — to wszystko nie wykolei teraz jednostronnej uwagi tej w oko i w ucho przemienionej istoty, która kryje się w skrytce z lichego chwastu i choiny.

Znów brzmi już nieco lepiej powabna chińszczyzna: „Terojoy — szu — szu — szu“ „kutturu, ruttu, ruiki — urr — urr — urr — rutturu — rutu — ruki“, niby brzuchomowcze tony niewidzialnego spiewaka — to znów dolatuje z oddali przygłuszone kokanie. Wtem gromkie „Ko! ko! ko!“ rozlega się tuż blisko, lecz na tem koniec. Oko niczego dopatrzeć nie zdoła, choć krajobraz otwarty wokoło — choć źrenica się powiększa jak u kota — ptak widocznie spłoszony uleciał z pomiędzy najbliższych krzaków. Teraz znów cisza, słychać tylko głośne uderzania własnego tętna, a przekrwiona mózgownica przesuwa obrazy, których oko dopatrzyć nie zdoła.

Rudy, obrzydliwie obdarty, z wiszącymi kłapciami włosu mykita, po nieudanym zamachu, wynosi się chyłkiem do lasu, a tymczasem jutrzenka różowa barwi już coraz wyżej drobne chmurki wschodu, rumiane odbicia głaszczą krajobraz i rozpalają już na dobre uczucia miłośnych szałów.

Bełkoce coś w powietrzu jak kipiąca woda, słychać urywane wabienia i kilka ptaków zapada na odkrytej powierzchni. Jedne pokazują łebki z zarośli wrzosu, skubią i żerują, inne na różne tony stroją swe instrumenta, które chyba tylko sparodyować można ludzką fonetyką.

I coraz bardziej zaludnia się scena, co chwila nowe postacie pokazują się z poza krzaków, mieszają się w tłumie, gdzie ciągły ruch, ciągłe przebieganie i przelatywanie pojedyńczych ptaków. Zdaje się chwilowo, że to jakiś chór spiewaków, ale wnet widok się zmienia, chór się rozprasza, coraz to żywiej brzmi tempo pieśni godowej, a wśród tego towarzystwo dzieli się na partye zapaśników — i w tanecznych wirach przechodzi częstokroć w mimikę, po której co najmniej śmierci przeciwnika spodziewaćby się można. Ale w istocie nikt tam nie godził na życie drugiego, szaleją tylko w demonstracyach zapału, a ostatecznie każdemu chodzi tylko o spędzenie innych z tej świetnej estrady, przyczem nieuniknionymi są również i dość brutalne środki, zwłaszcza gdy obecność płci pięknej odwagę zaostrza. Ostatecznie bez wielkich szwanków wychodzą wszyscy cało, co najwięcej zabrakło jednemu kilku piórek na szyi, drugiemu szkarłatna kropelka spadła z koralów, inny widząc przewagę wyniósł się niepostrzeżenie, nie chcąc się doczekać gorszej łaźby, a tymczasem opanował pole jakiś niezwykły siłacz i stanął w pośrodku w pozie wyzywającej. Wszystko zdradza w tej postacie kulminacyjny punkt szału i warów namiętnych; błyska niby z czerwonego wosku plastyka korali, oko się przewraca kurczowo, gardziel nabrzmiewa golgotaniem wytężonem, pióra się nastroszyły zdwajając pozornie wielkość rycerza — cały organizm trzęsie się jak w febrze, ruchem sztywnym zatacza koła po opróżnionem pobojowisku, czuchota skrzydłem po ziemi, szumi, to znów podskoczy w górę, wytnie nogą jak w bęben w naprężone skrzydło, jakby ostatecznego tryumfu dając sygnał, wreszcie zatoczy lirę, przechyli głowę do ziemi jak gladyator szukający zapaśnika — ale naprózno — minęły chwile Marsa, i teraz Wenera oddaje w ręce rycerza spragnioną cieciorkę.

Jest ona niedaleko, była świadkiem tanów i walki — już wybiega z gąszczy drobnego zakrzewienia, rozpuszcza na pół skrzydła, przypada do ziemi, głowę niemal kładąc na trawie, i jest już w ognistych objęciach tokuna. Ten, nie mając rąk, dzióbem ją porywa w okolicy tyłogłowia — parka okręca się jakby w wirze tanecznym — i kilkakrotnie powtarzając to samo, gore już w całej pełni pochodnia hymenów.

Wreszcie uspokoiły się wary krwi — cieciorka wyciekła piechoto, a tokun, wyprostowawszy się z wyciągniętą szyją — strzepał się i wzniósł się ciężkim lotem w ukośnej linii na najbliższą gałązkę, prezentując się w całej swej wspaniałej postaci. Obojętnym już wzrokiem spoziera z wyniosłego siadła na całe igrzysko — gdzie w rozmaitych miejscach rozgrywają się podobne sceny — jakiś olimpijski spokój, wielka jakaś zaduma ogarnęły duszę tego niedawnego tancerza, spiewaka, komika i gladyatora, może mu żal tak prędko minionych zachwytów i ekstazy, *ergo* stwierdza jeszcze raz spostrzeżenie Arystotelesa, że *omne animal post coitum triste*.

Już pierwszy promień wschodzącego słońca przedarł się przez siny welon rannych oparów, na powierzchni ziemi, rzeźbionej z lekka niby pod miękkim uciskiem, długie cienie przeplatają strugi światła, błyszczą jaskrawo nabrzmiałe pączki krzewiny, srebrzy się las naszych palm nad brzegiem strumienia, a dalej, gdzie niebotyczne maszty niby świątyń kolumny piętrzą swe igliwiowe dachy, igra ukośny promień czerwonymi blaski po kurczowo wygiętych gałęziach — lekki podmuch od wschodu szemrze i jęczy po wierzchołkach, pędząc coraz dalej przed sobą szarych mroków oponę.

Gdy wszystko lśni i kąpie się w świetle i blaskach, to już jak istny kohinor*) błyszczy teraz nasz tokun wśród tego morza słońcem wywołanych dyamentów. I trzeba widzieć tę naturalną a przedziwną grę barw, bo żadna mowa na świecie nie zdoła i w przybliżeniu oddać wrażeń wzrokowych. To nie barwniki materyalne lśnią przed naszym wzrokiem skrą kryształu i metalu blaskiem, to tylko gra załamanych w różnych kierunkach promieni w strukturze piór wytwarza te barwne czary — tam niema żadnego barwnika, podobnie jak w kropli rosy, skrzącej mimo to w barwach najpyszniejszych.

Ale w samą porę pochwytałem te wszystkie spostrzeżenia, bo kończy się zjawisko urocze; szybciej, niżby go o to posądzić można, zrywa się tokun, wznosi się w górę i znika lecąc ponad wierzchołki drzew.

A cóż ty, zwaryowany fantasto? Ofiarujesz noc, tłuczesz się po bezdrożach, cietrzew jak czapka siedzi ci przed nosem i daje ci się przeglądnąć w swem lustrze, a ty stoisz jak manekin?

Tak, jeżeli nie powie, to pomyśli niejeden „jak zbójca krwi chciwy myśliwy“. Ale wybacz Nemrodzie, wybacz, że tylko *veni i vidi* stanowi treść tej relacyi, bo to *vici*, ten morderczy huk broni wśród wiosennych peanów całej natury, to dysharmonizujący całość objaw naszej dualistycznej

---

*) Brylant w angielskim skarbcu koronnym.

istoty — to banalna krwawa pieczęć rzemiosła naszego. Na swoją obronę, gdzie takowa potrzebna, wspomnę tu, że często strzelałem na igrzyskach — często Bóg ołów nosił, kiedyś niekiedyś wpadła w ręce piękna lira tokuna, ale ostatecznie mało krwi rozlewu, więcej wyniosłem uczuć wezbranych, uczuć najpiękniejszych, jakie tylko mogą głaskać duszę śmiertelnika na ziemi. To też i dziś, każdej chwili gotów jestem podążyć tam, gdzie grają cietrzewie, choćby tylko „z wachlarzem lub gitarą", jak o coś podobnego posądzono wybitnego nestora łowiectwa naszego (Łowiec Nr. 6.). A kiedy już zbliży się nieubłagana łódka Charona, to niech dobije szczęśliwie do Styksowego brzegu; może tam, w ponurym lasów cisowych cieniu, doczekamy się znów rumianego świtu i rozkosznej gry cietrzewi na elizejskich łąkach i polach.

* * *

Kreśląc ten skromniutki fragmencik, którego sceną jest jeszcze wiele okolic na naszej ziemi, muszę zastrzedz najwyraźniej, że jest to nie jakiś szablon ogólny igrzyska, lecz czysto lokalny i tylko od pewnego zbiegu okoliczności zależny dramat wiosenny. Wśród tych samych fizyologicznych motywów, inscenowanie dramatu podlega mnóstwu odmianom, zależnym od pory kalendarzowej, od stanu pogody, stosunku płci i ilości ogólnej przebywającego w jakiejś okolicy zwierzostanu, niemniej od przyrody obranego igrzyska, tak, że nie chcąc ściągnąć na się posądzenia o przesadę lub wprost o nieprawdę, muszę jeszcze bodaj szkicowo omówić różne waryanty igrzysk cietrzewi.

Niestety, nie znając jeszcze wszystkich czynników, jakie wpływają na igrzyska, nie możemy z całą pewnością wyrokować a charakterze toków w danej miejscowości. Na pozór najrozumniejsze obliczenia i najlogiczniejsze konkluzye zawodzą częstokroć. Gdy wejdą w grę jakieś niezbadane czynniki, wtenczas cały kram utartych komunałów zdaje się w niwecz rozlatywać pod wrażeniem niespodzianek, których zdemaskowanie jednak doprowadzić nas może z czasem coraz bliżej do prawdy.

Gdzie jest bardzo liczny zwierzostan cietrzewi, tam gra tokowa zapala się już samem współzawodnictwem do nadzwyczajnych rozmiarów; robi to wrażenie, jak gdyby muzyka, tańce i mimika były ostatecznym celem tej gry, gdyż mimo obecności cieciorek na igrzyskach, trudno dopatrzyć samego aktu, który odbywa się zazwyczaj na uboczu, gdy już nastąpił wybór i pojedyncze parki wyniosły się z widowni igrzyska. Stąd w czasach historycznych myśliwy, nie dopatrzywszy wstydliwego epilogu, wpadał na domysły najdziwaczniejsze, a wreszcie uwierzył, że zapłodnienie kur odbywa się przy pomocy piany, wydzielanej z dzióba kogutów podczas gry. Za wiarą tą poszli i przyrodnicy, odsądzając cietrzewia od ogólnych praw organicznych. Rzecz dziwna, że i nasz Cygański, ten nieuprzedzony ornitolog-myśliwy, dał się unieść ogólnemu prądowi wyobrażeń w tym kierunku i poświęcił cietrzewiowi następujący cztorowiersz:

„Ptak leśny, cietrzew, miłośnik czystości,
Z przyrodzenia swego takie ma własności:
Z piany, która mu na igrzysku płynie,
Płód swój zaczyna, tak czystością słynie.

Naturalista Gesner w XVI wieku (lib III. pag. 474) z małemi odmianami powtarza tę samą sentencyę w stylu już nieco poprawniejszym, bo już nie pianę, ale wprost „spermę" wyrzucać ma tokun na ziemię dzióbem, poczem zwołane kury zbierają ją z ziemi i w ten sposób następuje zapłodnienie.

„*Gallus hujus speciei sperma ex ore tempore coitus in vere exercat et evomit, et voce magna advocat gallinas ipsas, quae cum advenerint, sperma ejectum et exercatum a gallo in terram ore legunt et reglutant et tali modo concipiunt*". Po takim opisie, przypominającym swą treścią niezliczone awantury greckiego Olympu, przestraszył się jednak niemiecki Pliniusz stworzonego monstra i dodaje, obalające wszelką wiarę, zapytanie:

„*Quis credat hoc avinum genus ore coire?*" Powątpiewali więc o czemś podobnem już i przyrodnicy XVI wieku, nie umieli jednak w tym kierunku spostrzeżeniem sprostować dawnych błędów; wierzył jednak w możliwość ogół i stąd obie płci najlubieżniejszego ptactwa w późne jeszcze wieki zachowały pozory czystości i wstydliwości. „Czysty cietrzew" i „cieciorka wstydliwa" figurują też w historyi o Banialuce Hieronima Morsztyna r. 1650.

Zbiorowiska i gra cietrzewi trwają zazwyczaj 6—7 tygodni w naszym klimacie — mniej więcej od końca marca do 15—20 maja, jednak nie ustają raptem; pojedyncze ptaki grają częstokroć jeszcze do połowy czerwca. co jednak należy do przypadków wyjątkowych, ale niestety bardzo częstych w okolicach, gdzie pierwsze lęgi w jakikolwiek sposób zniszczały i mnóstwo cieciorek błąka się po lasach, wyzywając do spóźnionych toków. Znane są z praktyki myśliwskiej nawet jesienne toki cietrzewi. W każdym razie jest to objaw nieodosobniony; spotykamy go coraz częściej i u innych zwierząt w coraz to bardziej zakłucanym stanie natury. Właściwą przyczyną jest tu bądź wielka nierównowaga płciowa w zwierzostanach, bądź odezwanie się popędów natury u osobników pojedyńczych, które z rozmaitych powodów w porze właściwej objawić tego nie mogły. Jakiekolwiek obrażenie tokuna w porze wiosennej, czyni go niezdolnym do dalszego tokowania, ptak taki jednak, chorując długo, wreszcie się wygaja, ale pierzenie opóźnia się (widywałem w lipcu koguty w pełnej sukni) i ptak, chcąc sobie wynagrodzić przymusowe zaniedbanie, poczyna grać. W innym znów razie ptak młody, jeszcze w sukience o szaro-brunatnym nalocie, zaczyna grę nader wcześnie, już w lutym. Takiego zapalonego młodzika ubiłem w Złoczowskiem w wiklu nad brzegiem rzeczki Sołokii w 1893 r. d. 11 lutego. W ogólności odzywanie się głosem tokowym kogutów pojedyńczych w porze, gdy jeszcze sroży się zima i ptaki te po całych dniach włóczą się gromadnie częstokroć w towarzystwie cieciorek, nie należy do wielkich rzadkości. Głównym celem takiej zbiorowej włóczęgi w zimie jest żer, jednak pojedyńcze ogniste natury już się tem wyłącznie nie zadowalniają i gdy tylko w jakiemś zaciszu ogrzeje je chwilowo nieco przyjaźniejszy promień słońca, rozpoczynają wyspiewywać pojedyńcze strofy nuty godowej, podczas gdy reszta towarzystwa żeruje w najlepsze, spoglądając ze zdziwieniem na przedwczesnego zapaleńca, wezbranego ochotą weselną — zresztą całkiem platonicznej natury w czasach chłodu i głodu.

Jak w ogólności wszystkie ptaki grzebiące, przeczuwa cietrzew zmiany atmosferyczne i w pewnych warunkach daje się słyszeć w porze niezwykłej. Nie jest to gra tokowa, lecz jedynie objaw pewnego zaniepokojenia, objaw wcale nierzadki, ale nie mający nic wspólnego z właściwą grą tokową. Gdyby myśliwi więcej zwracali uwagi na subtelne odcienia takiej gry cietrzewia w porze niezwykłej i na towarzyszące jej okoliczności, mniej byśmy czytali o niezwykłej porze tokowania tych ptaków, która w każdym razie do wyjątków rzadkich należy.

Widząc zbiorowisko cietrzewi żerujące obok siebie w najprzykładniejszej zgodzie, obsiadające gromadnie gałęzie

drzew w porze, gdy drzemią jeszcze miłosne uczucia, niktby nie przypuszczał, że ptak ten w nader krótkim czasie może zmienić do niepoznania swe usposobienie. Gdy słońce wstąpiwszy w znak barana (20 marca), po przeciągłych grymasach podniebia, nieco przyjaźniejsze przeszle ziemi promienie, erotyczne uczucia poczynają się budzić na dobre w cietrzewiem sercu. Z każdym dniem szczupleją gromadki, ubywa zgodnych towarzyszy i współbiesiadników, a mnożą się rywale i zapaśnicy rozpraszają się po całej okolicy, obierając sobie jednak pewne miejsca do gry tokowej. Zanim to nastąpi, daje się słyszeć w rozmaitych miejscach pewnej okolicy gra pojedyńczych ptaków, trwa to jednak niedługo; coraz więcej tokunów zjeżdża na obrane igrzyska, coraz głośniej brzmią ich koncerty i coraz żywiej demonstrują swe tany i mimikę.

W początkach gry tokujące już ptaki porywają za sobą na miejsce igrzysk również i takie egzemplarze, którym ani w głowie miłosne zachwyty; to też dają się tu spostrzegać sceny wielce oryginalne, w których nader wielki spokój pewnych kogutów stanowi rażące kontrastem tło do ożywionej mimiki i oszołomiającej muzyki innych. Ot, przyleciała ta paczka chyba, żeby się najeść, podczas gdy inne rozpływają się w zachwytach.

Takie zbiorowiska w początkach gry są nader płochliwe: jedne koguty płoszą drugie i wystarcza najmniejszy szmer, aby uleciały i nigdy się już w tem miejscu nie pokazały. To też ostrzeliwanie igrzysk nazbyt wcześne, gdy jeszcze nie wszystkie koguty się rozegrały, nie powinno mieć miejsca, już choćby dlatego, że w czasie tym zwykły na obrane miejsca przylatywać koguty ze stron dalekich, które jednak po najmniejszem przepłoszeniu w tej porze, raz na zawsze się wynoszą. Przeciwnie, gdy już gra odbywa się ogólnie i miejsca igrzysk są stale odwiedzane, wtenczas bez szkody może już ołów rozpocząć swą gospodarkę. Cała władza umysłowa ptaków jest w innym kierunku zajętą, roznamiętnione współzawodnictwem tokuny, pomimo wrodzonej płochliwości, wydają się w pewnych chwilach gry najzupełniej obojętnymi nawet na straty, i ani huk broni ani skutek strzału nie przerywa toku. W jakiemś głupiem zaślepieniu zbliżają się i tokuny i cieciorki do trupa i skubią go dzióbami.

Ale jeszcze i z innych względów wczesne ostrzeliwanie igrzysk jest niewłaściwem. W początkach toków zjawiają się ptaki prawie po ciemku, tak, że strzał jest utrudniony, jeżeli już wcale nie niemożebny, a nawet księżyc na niebie nie ułatwia rzeczy, bo pomieszane światła z rozmaitych stron wytwarzają optyczne złudzenia i stają się przyczyną pudeł, dających się jedynie stosunkami otoczenia wytłumaczyć, gdyż w innych razach, strzał do tak wielkiego ptaka siedzącego czy też spacerującego, nie może być chyba zaliczonym do dzieł zręczności.

Niektórzy ze specyalnych znawców przyrody cietrzewia utrzymują (A. Ludwig, *Vom kleinen Hahn L. Jll. Z.* 894. 3609), że w początkach igrzysk dopiero ze wschodem słońca daje się słyszeć gra tokowa, niemniej, że rozpoczyna się ona coraz to wcześniej w miarę ustalania się toków i ustaje znów powoli, kończąc się ze wschodem słońca u schyłku pory igrzyskowej. Nie mam powodu wątpić, że podania te są najrealniejszą prawdą — ale odnoszą się tylko do pewnych lokalnych stosunków i nie mogą być uważane jako charakterystyczne objawy igrzysk cietrzewich w ogóle, co mi bez wątpienia przyznają znawcy, którzy mieli sposobność w rozmaitych siedliskach i warunkach zapoznać się ze zwyczajami cietrzewi w porze igrzyskowej. Gdzie niezliczona moc czynników różnorodnych składa się w naturze na pewien objaw, tam układanie jakichś szematów, zresztą tak gdzie indziej wygodnych, do niczego doprowadzić nie może i nikogo pouczyć nie zdoła, tem bardziej, że mnóstwo nieznanych nam jeszcze motywów wywiera wpływ na objawy życia zwierzęcego.

Na gruncie własnych jakoteż łaskawie mi udzielonych spostrzeżeń najznakomitszych naszych myśliwych mogę zapewnić, że w bardzo wielu wypadkach grały cietrzewie już w początku igrzysk, gdy zaledwie nieznaczne oznaki świtu pojawiły się na niebie, i to w porze dżdżystej, wietrznej i zimnej.

Wspomnieć tu należy jeszcze o jednym względzie, przemawiającym za późnem rozpoczynaniem łowów na igrzysku — a wzgląd to może najważniejszy, bo mający na oku utrzymanie zwierzostanu cietrzewi i dobrej w nim równowagi płci. Idzie tu o zapłodnienie cieciorek przed znaczniejszem wystrzelaniem kogutów. W porze, gdy już cieciorki nie wabią, nie szkodzi już i silne ostrzeliwanie kogutów, bo nie zachodzi obawa nadwerężenia równowagi płciowej. Cieciorki już są zapłodnione, część z nich osiadła już nawet na gniazdach, to też zazwyczaj w późniejszej porze igrzysk płci pięknej na tokowisku już nie dojrzy. Przeciwnie, obserwując igrzyska zaraz z początku, widzieć można częstokroć kilka cieciorek nadlatujących w towarzystwie jednego lub co najwięcej dwóch kogutów.

Walki współzawodnicze zaostrzają się tem bardziej, im mniej cieciorek zjawia się na igrzysku; wreszcie płeć piękna, dążąc w gorączkowym pospiechu do spełnienia najważniejszych przeznaczeń rodu, niema już po co uczęszczać na igrzyska. To też w końcu spotyka się tam towarzystwo wyłącznie męskie, oszołomiające się chyba tylko miłem wspomnieniem chwil przebytych. Na zbiorowiskach takich, jakby prześcigając się nawzajem w objawach zachwytu, na jakie tylko ptak głosem i ruchem zdobyć się może, przepędzają koguty po kilka godzin; najwytrwalsi szermierze wytrzymują i do 10-tej przed południem, podczas gdy inne odlatują i rozpraszają się po lesie, skąd słychać jeszcze długo, czasem przez dzień cały, pojedyńcze strofy pieśni godowej. Pod wieczór znów na obranych miejscach rozpoczyna się gra pojedyńczych ptaków, tak, że w okolicach obfitujących w zwierzostan cietrzewi, łowy wieczorne na igrzysku mogą być z niejakim skutkiem wykonywane.

Ostatnimi czasy zawrzał dość ożywiony spór pomiędzy przyrodnikami niemieckimi. I o cóż to? Żaden z nas, a zatem i ty łaskawy czytelniku, nie domyśliłby się o co tu chodzi. Jednym (Horn, Lloyds) zdaje się, że cietrzew wcześniej od głuszca poczyna tokować, innym znów (Altum, Wurm), że później. Jeżeli polemika ma stanowić okrasę życia, to podnosząc taką kwestyę, na długie lata, a może na wieki postarano się o materyał nader wdzięczny ku temu. Nie wdając się w żadne argumenty ludzkie w tej kwestyi, zapytywałem oba gatunki naszych tetraonów o ich zdanie w tym względzie, jednak żadnej ogólnej prawdy dowiedzieć się nie mogłem. „Czasem bywa tak“ — puchał zakonnik leśny — „a czasem inaczej“ — golgotał cietrzew i upewniali obydwa jak najświęciej, że żaden z nich nie podkreślił w kalendarzu chwili rozpoczęcia gry miłosnej. W naszych górach zazwyczaj głuszec poczyna się odzywać wcześniej niż cietrzew górski, jednak mówię „zazwyczaj,“ bo niebrak i odwrotnych przykładów.

Jako rozmaite jest rozsiedlenie ptaka, tak i różne są miejsca toków i zbiorowisk igrzyskowych. Najczęściej tokuje cietrzew na ziemi, w miejscach odkrytych, a co najwięcej z rzadka zakrzaczonych, gdyż mu potrzeba do pląsów, do posuwistego

pochodu i zataczenia kół, wiele przestronnego miejsca. Od rzadko kosodrzewem zarosłych połonin ponad górną granicą lasów, aż po podmokłe łączki nizin, wszędzie może on obierać miejsce igrzysk. Wrzosowiska, zarosłe karłowatą sosną i brzozą, torfy z rzadką zaroślą krzewów, zręby w lasach, a nawet pola orne, lub mszarne, kupiskami nastroszone mokradła mogą być sceną igrzysk. W górach głębokich, gdzie niema zbyt obfitego zwierzostanu cietrzewi i gdzie zbiorowiska igrzyskowe, tak jak to ma miejsce w okolicach nizinnych, rzadko się kiedy dają spostrzegać, tokują koguty na drzewach daleko częściej, osobliwie w późnych godzinach porannych po odspiewaniu zwykłej partytury na obranem igrzysku. Tokujące po drzewach koguty nader trudno dają się podejść, a zasiadka przy drzewach, na których zauważano toki, chyba tylko przypadkowo prowadzi do jakiegoś rezultatu. Cietrzew bowiem tokujący w ten sposób nie obiera, podobnie jak głuszec, pewnych ku temu drzew, ale przeiatuje pozornie bez żadnego planu, w rzeczywistości zaś kieruje się w stronę, skąd go doleci wyzwanie współzawodnika lub wabienie cieciorki.

W grze tokujących cietrzewi, prócz znacznych różnic w kolejnem wygłaszaniu pojedyńczych strofek, istnieją także i bardzo nieraz subtelne odcienie dźwięków, mówiące bardzo wiele bądź o wieku, bądź o chwilowem usposobieniu spiewaka. Początkiem pieśni jest zawsze tak zwane szlifowanie, tj. połączenie samych twardych ostrych tonów. Jestto apel bojowy, na co wskazuje postawa i zachowanie się tokuna w tej chwili. Podnosi się, wyciąga w górę szyję, podskakuje, to znów zrywa się i pół lecąc pół biegnąc mierzy igrzysko. W początkach pory godowej częstokroć tylko te ostre dźwięki dają się słyszeć: wtenczas ptak jest do najwyższego stopnia płochym, wygląda w każdej chwili starcia, nieobecność współzawodników dręczy go niepewnością i byle najmniejszy powód spędza go z igrzyska.

Lecz coraz wyższym łukiem obiegające słońce rozpala coraz silniej drzemiące uczucia, ptak niby to ostrząc wojenne żelaza, po Marsowej zwrotce zaczyna wydobywać pełne, miękkie, gardłowe bełkotania. Pieśń miłości rozlewa i tu swoje czary — sam spiewak wpada w zachwyt — coraz głośniej płyną tony namiętne, w łukach lub w pełnych kołach porusza się pompatycznie, wracając zazwyczaj do punktu wyjścia, wreszcie wytężony, z gardzielą wydętą i nastroszonem pierzem drży cały, przejęty dreszczem miłosnych czarów. Jednak nie zawsze i nie każdy kogut wydaje tak głośne golgotanie; intenzywność tej właściwej gry tokowej jest poniekąd wskazówką siły i wieku tokuna, bo egzemplarze młodsze i mniej doświadczone, czy też upośledzone na polu Wenery, wyśpiewują tę samą strofkę w sposób głuchy, przytłumiony, jakgdyby się bały zdradzić ze swemi uczuciami.

Częstokroć wśród gry miłośnej ptak do najwyższego stopnia podrażniony wpada w szalony gniew, a każdy stopień roznamiętnienia znaczy urywanymi, ostrymi i częstokroć chrypliwymi wykrzyknikami. Są to niezawodnie obelgi i brutalne wyzywania bądź imaginowanego, bądź faktycznego przeciwnika.

* * *

Łowy cietrzewi na igrzysku, czy to z budki, czy innym sposobem, nie zdołają zaanimować każdego z myśliwych i pozostaną zawsze odrębnym specyałem pewnej tylko kasty kapłanów Dyany, którzy potrafią się wyznać w tej uroczej romantyce, płynącej obficie z wiosennego kielicha natury. Nie dla użytku takich wspominam tu bodaj pobieżnie o wykonaniu tego łowiectwa; oby te kilka słów doświadczenia były tylko przewodnią wskazówką dla wstępujących w szranki prawdziwie podniosłej praktyki.

W ogólności wczesne zasiadki w budkach urządzonych na igrzysku najwięcej posiadają warunków powodzenia, to też należą do najbardziej rozpowszechnionego i w pewnych okolicach jedynie możliwego sposobu łowiectwa. Łowy z wabiem, oprócz tego, że wymagają bardzo specyalnego znawstwa w użyciu wabia, gdyż w przeciwnym razie mogą tylko przepłoszyć ptactwo, nie zawsze i nie wszędzie dadzą się wykonać, a nigdy w okolicach, gdzie równocześnie kilkanaście a nawet kilkadziesiąt odzywa się tokunów.

Podsuwanie się pod okryciem krzaków i zarośli pod siadła tokujących ptaków, jest niezawodnie koroną wszystkich sposobów, ale nazbyt to cierniowa i trudnościami nastroszona droga po ten wianek zwycięzki, który ma uwieńczyć sprytnego i cierpliwego zapaśnika po walce z płochością i przezornością ptaka.

Niechaj tu nikogo nie zadziwia me wyznanie. Kiedyś, będąc jeszcze w wieku wyzywającym wszystko po drodze, nie dostrzegającym żadnych trudności, wyszedłem strasznie pokiereszowany z takiego pojedynku. Przemokły, obłocony, obdarty, naprzemian trapiony zimnym dreszczem, to znów gorączką, podczołgawszy się jak płaz manowcami w mrokach świtu po skandalicznym terenie, nie zdobyłem i na tej drodze orderu... zielonej gałązki. Nie potrzebuję dodawać, że każde zdradzone przed czasem zamiary w tym sposobie łowiectwa, niepokoją w najwyższym stopniu igrzyska a wreszcie mogą spowodować zupełnie ustanie gry w obranem miejscu. Z tego względu nie radzę próbować szczęścia na tej drodze, a tem bardziej w okolicach, gdzie ku temu nie ma najmniejszego powodu wobec gromadnych zbiorowisk na stale obranych igrzyskach. Jedynie w okolicach, gdzie ptaki więcej pojedynczo w niestałych miejscach tokują, a szczególnie w obec toków na drzewach, podsuwanie się pod siadła pojedynczych ptaków doprowadzić może do celu w sposób nieszkodliwy dla przyszłości.

W ostatnich czasach, jakby o jakimś nowym zupełnie wynalazku, poczęto mówić w Niemczech o użyciu t. z. cieniów, bałwanów lub maniaków, mówiąc po prostu: wypchanych cietrzewi jako przynęty na igrzyskach, a nawet miały się podobno pojawić w tym celu sporządzone „*Patentpuppen*“ i „*Patentschirm*“. Brakuje chyba jeszcze słoiczka z patentowaną solą do wiadomego użytku, aby bez trudów i kłopotów uchwycić żywcem naiwnego tokuna. Nie przynęcenie jednak zapomocą patentowanych środków, ale trudności zachodzące przy wyznaniu się w obyczajach zwierza, potrzebna do tego bystrość i cierpliwość, stanowią wykwintną zaprawę tego wspaniałego sportu, w którym zdobyczy na wagę się nie ceni.

Użycie „cieniów“ jest tak dawnem jak dzieje łowiectwa, a może sięga czasów, o których dzieje nic nam powiedzieć nie mogą, i w braku innych środków stosowane było do masalnych łowów cietrzewi, gdy cel uświęcał środki, gdy przeróżny „dowcip gnał roje latawców do sideł“. Jednak zwierzostan obecny cietrzewi jest żywym dowodem, że przodkowie nasi rozporządzali nadto wielką dozą dowcipu w jednym kierunku, a nam pozostała praca zupełnie innej treści, w której zakres nie wchodzi bynajmniej zasób dawnych środków niszczenia, lub odgrzewanie patentów na anachronizmy, które w najlepszym nawet razie każą się dzielić myśliwską sławą z jakimś fabrykantem patentowanych parasoli lub lasek.

W możliwie najciaśniejszych ramach starałem się przedstawić najgłówniejsze objawy igrzysk cietrzewich pod wpływem rozmaitych czynników otoczenia, a mimo to zapisałem

dużo papieru — bo treściwa ta karta, choćby w najbardziej szkicowem opracowaniu, wymaga bodaj dotknięcia niezliczonych szczegółów i zaokrąglenia jakiej takiej całości. Igrzyska jak na dziś podają najponętniejszą i może jedynie racyonalną sposobność łowów tego ptactwa, jednak tylko w wykonaniu *lege artis* charakter ten zachować mogą.

O wpływie stanu atmosfery na przebieg igrzysk ledwo przelotnie wspomniałem, jak to zwykle bywa w rzeczach, o których niewiele pozytywnego umie się powiedzieć, i gdzie mnóstwo spostrzeżeń wprost sprzecznych wprowadza zamęt niesłychany. Zimna, słoty, wiatry w porze wiosennej, zanim jeszcze obudziły się w ptaku miłosne popędy, mogą wstrzymać i opóźnić grę, a zapamiętam lata, w których cały sezon gry cietrzewiej przeszedł niepostrzeżenie. W ogólności, gdy się już ptaki rozegrały, zdaje się wielki wpływ wywierać na przebieg toków stopień zachmurzenia nieba, a mniej czułym jest tokun na temperaturę powietrza. W dniach chmurnych rozpoczynają się toki o wiele później i są mniej ożywione, pomimo, że powietrze jest ciepłe; przeciwnie, gdy po kilku pochmurnych i ciemnych dniach niebo się wyjaśni i pogodny zaświta dzień — wtenczas choćby na kryształami szronu okrytej ziemi ożywiają się igrzyska, jak gdyby w całej pełni chciał ptak wyzyskać najodpowiedniejszą do gry porę.

Czerpiąc pośrednio i bezpośrednio, ale zawsze tylko z najczystszej krynicy natury, oddaję w Twe ręce łaskawy czytelniku tę skromną pracę o tokach naszych cietrzewi — a oddaję z zupełnym spokojem, gdyż wszędzie, gdzieby mnie bądź pamięć, bądź choćby najzdrowsze zmysły zawieść mogły, wsparli mnie nasi myśliwi, otwierając mi skarbnicę swych spostrzeżeń, a już przedewszystkiem korzystałem w najszerszej mierze z subtelnych spostrzeżeń na tem polu hr. Leopolda Starzeńskiego, dokonanych na tokach cietrzewi w ciągu ćwierćwiekowej praktyki w rozmaitych okolicach kraju.

Dzięki wam przeto zacni myśliwi! Przybyło ukochanym naszym „derwiszom“ skrzydlatym kilka świeżych i barwnych pyłków natury — skromna to na pozór, ale w rzeczywistości najwspanialsza nagroda szlachetnych trudów i doznanych zawodów. A od waszego sprawozdawcy? Ten napiął już łuk swych uczuć wdzięczności i umie trafić w sam środek waszego serca: Niech wam do najdalszych granic ziemskiej pielgrzymki cukruje chwile wiosennych przebudzeń urocza ta scenerya, niech wam w najdłuższe lata wśród balsamicznej woni borów, na kobiercach wrzosów i macierzanki, przygrywa swój pean miłości ptaszek lśniącopióry.

# Z „wilczej mozaiki“.

Odkładamy z przyjemnością przeczytaną dopiero co książkę, wyposażoną licznemi ilustracyami. Tytuł książki „Mozaika wilcza“ — autor Konrad Machczyński*) — treść pod każdym względem zajmująca. Autor, korzystając z zapisków przyjaciela, przywodzi nam przed oczy niedawno minioną, a takim urokiem owianą przeszłość z przed laty kilkudziesięciu, i w opowiadaniu swobodnem, pełnem charakterystyki i niewymuszonego humoru, zaznajamia nas z postaciami owych czasów, ich zajęciami, a szczególnie z ich myśliwstwem. Obrazy natury sylywają się tu harmonijnie z rysunkiem i działaniem figur i podobnie jak w opowiadaniach J. Chodźki lub K. W. Wójcickiego mamy przed sobą ciepły, pełny, sympatyczny obrazek przeszłości, otaczamy się atmosferą, w której nam dobrze i kończymy czytać z westchnieniem, że to już.. przeszłość. Oto pan rotmistrz Żubrawa, oto rezydent, pan Michał z Hulankowa, ex-leśnik Zdrojek, kucharz Haman, arendarz Abrahamek... Oto wspomnienia z czasów wojen Napoleońskich i okupacyi pruskiej — oto tysiączne dykteryjki o psach i polowaniach na wilki, przepisy na witerunki, przynęty, obwłoki, opisy sposobów łowienia wilków na żelaza, słupy, doły itp. Wierzenia i przesądy myśliwskie wiążą się tu z zapiskami, opartymi na doświadczeniu i tradycyach myśliwskich — i wszystko to składa się na istotną „Mozajkę wilczą“, która bawi i poucza, mając szczególniej na oku pojawianie się u nas wilka, sposób jego życia i łowy na niego.

*) Mozajka wilcza, ułożona z młodzieńczych wspomnień myśliwskich przyjaciela, przez Konrada Machczyńskiego, z rysunkami J. Ryszkiewicza i portretem autora. Kraków L. Zwoliński i Sp. Warszawa Księg. T. Paprockiego i Sp. 1896.

Aby dać próbkę opowiadania, pozwalamy sobie przytoczyć tu obrazek polowania na wilki pod komendą p. rotmistrza Żubrawy.

* * *

„....Dzień był ciepły, słoneczny i tak spokojny, że lekkie pasemka *babiego lata* swobodnie unosiły się i pływały w powietrzu.

Około dziesiątej pozjeżdżali się goście, a prawie każdy zaproszony przywiózł ze sobą to krewnego, to przyjaciela, to dobrego znajomego albo kogoś z ludzi niższej kondycyi i służby, co dobrze strzelał i mógł przydać się na polowaniu.

Przyjechał pan sędzia Rohatyński z dwoma synami, pan Rożyński ze szwagrem, dwóch młodych urzędników z obwodowego miasta, pan Szaramancki z jakimś Niemcem *von*... z pod Bydgoszczy, dwóch kuzynów i jeden sąsiad pana Żubrawy, których on zaprosił jako komendant polowania, i jeszcze kilku nieznanych mi obywateli — dość, że, obliczywszy gości, którzy byli w pokojach, zebrało się myśliwych, rachując z nami, przeszło dwudziestu. Takich zaś ze strzelbami, którzy pozostali na dziedzińcu, albo których odesłano wprost na Kobusówkę, było także kilkunastu.

Ojciec, stryj i pan Michał serdecznie witali przyjeżdżających, czemu towarzyszyły różne rekomendacye, przypominania się i wykrzykniki.

Na stołach były już zawczasu przygotowane wódki, piwo, porter, wino, wędliny, różne zimne zakąski, chleb wiejski, tartynki, babki i świeże bułeczki. Była także i ka-

wa, a do niej w kilkunastu płaskich garnuszkach krakowskich wyborna śmietanka z takim grubym kożuszkiem, że po nim mogłaby przebiedz tęga mysz bez załamania.

Gospodarze zaraz po przywitaniu się z gośćmi zapraszali ich do stołu, bo czasu było już niewiele. Panowie myśliwi przepijali do siebie anyżówką, goldwaserem, ratafią i gdańską wódką, znikały zakąski, strzelał i pienił się porter; niektórzy woleli przecież kawę. Po wszystkich pokojach słychać było ożywione, choć przerywane rozmowy, rozlegały się śmiechy, krzyżowały się zapytania i odpowiedzi, żarciki, koncepty myśliwskie, świeże lub odgrzewane, i anegdotki, więcej lub też mniej udatne.

Jedni informowali się o wilkach i przesmykach w kniei, drudzy o porządku obławy i stanowiskach, inni pokazywali sobie broń, oglądali ją wzajemnie, przyczem każdy wychwalał swoją; wreszcie byli i tacy, którzy krytykowali wydane co do polowania rozporządzenia i dowodzili, jakby to można było zrobić inaczej i lepiej. Ten czegoś zapomniał i szukał, tamtemu coś się zapsuło przy fuzyi lub torbie, co trzeba było bezzwłocznie naprawić, niektórzy przekręcali ładunki i nabijali broń zawczasu, wszyscy byli mniej lub więcej w ruchu, wychodzili na ganek, schodzili na dziedziniec i do bryczek, przywoływali służbę, żądali tego i owego, wracali do pokojów i wychodzili znowu. Słowem — było gwarno, niekiedy może nawet hałaśliwie, ale zawsze serdecznie i wesoło. Nareszcie przyjechał i pan rotmistrz, którego oczekiwano z pewną już niecierpliwością.

Był ożywiony, wyglądał młodziej przynajmniej o dziesięć lat i uśmiechał się, chociaż nieco marsowo.

— Jest! jest przecież i nasz komendant, czy dyktator! — odezwało się kilka głosów, gdy, wszedłszy żwawo do stołowego pokoju, witał się z zebranymi.

— Jestem... i w każdej chwili gotów jestem złożyć władzę, która dostała mi się tylko wypadkowo.

— Ale cóż znowu, kochany rotmistrzu! — protestowano ze wszystkich stron. — Musisz wytrwać do końca i prowadzić nas na wilki!

— Więc chcecie koniecznie? Niech i tak będzie, tylko pamiętajcie, że jestem wymagający i ścisły.

— Zgoda! zgoda! Poddajemy się wszelkim rygorom! — zawołali gospodarze, pan sędzia, pan Michał i wielu innych starszych i poważniejszych z gości.

— Przedewszystkiem więc muszę panom powiedzieć, dobra nasza! Stary Zdrojek spisał się gracko: w nocy był w kniei, i wilki są. Nie myślcie, że spóźniłem się przez niedbalstwo; takich gruszek ja nie zasypiam w popiele. Byłem już na Kobusówce, zobaczyłem, co się tam dzieje, i jeszcze przemustrowałem leśników i tych, których oni wybrali sobie do pomocy. Psy swoje kazałem tymczasem odprowadzić nieco dalej, bo, czując polowanie, niepokoją się, warczą i szczekają radośnie: psiarczyk dostał po uszach za to, że nie umiał ich uciszyć. Obławników było dużo; teraz powinni być już wszyscy. Pomiędzy ludźmi z bronią znalazłem dwóch bardzo dobrych strzelców, których wezmę na naszą linię.

Mówiąc to, rotmistrz wyjrzał na dziedziniec, a zobaczywszy ludzi z bronią, którzy posilali się pod lipami, dodał wskazując na nich:

— Przepraszam panów, ale muszę jeszcze i tych zlustrować... Wiem ja już coś o nich od leśników; znam także, zdaje mi się, niektórych. W każdym razie niepodobna zatrzymać ich wszystkich przy nas.

To powiedziawszy, wyszedł i w dziesięć minut powrócił.

— Czterech najpewniejszych strzelców zostawiłem — powiedział — a resztę odesłałem na Kobusówkę.

— Powiedz-no, kochany Olesiu, czy to nie czas już jechać? — zapytał go pan sędzia.

— Zaraz pojedziemy, tylko jeszcze słówko: my także musimy się uporządkować...

— Dobrze! dobrze! więc słuchamy.

— Wiemy to wszyscy — mówił dalej rotmistrz — że na polowaniu są lepsze i gorsze stanowiska, a każdy chciałby dostać najlepsze. Wiemy również, że dla uniknienia pretensyi oraz zazdrości zwykle stanowiska bywają losowane. Gdyby szło o pożyteczną, nawet grubszą zwierzynę, zastosowałbym się do tego zwyczaju; ale nam idzie nie tyle o zabawę, ile raczej o tępienie wilków, zatem o ubicie ich jak najwięcej; trzeba więc najważniejsze stanowiska obsadzić najlepszymi strzelcami. Nie wątpię, że wszyscy panowie strzelacie dobrze, ale może nie każdy z nas ma dość wprawy w strzelaniu do tych niebezpiecznych szkodników i koniecznego doświadczenia przy spotkaniu się z nimi. To też pozwolicie, że sam zajmę się rozstawieniem myśliwych...

— Jakto? więc nie będziemy się losować? — mruknął ktoś niechętnie, zapewne taki, jak to zbyt często bywa, na którego biegłość najmniej można było liczyć. Ale pan rotmistrz znany był jako wilczarz zawołany na całą okolicę i posiadał tyle ogólnego zaufania, że ta kiełkująca opozycya ucichła zaraz wobec prawie jednomyślnych głosów, które oświadczyły się za nim.

— Nie wątpię — mówił dalej — że wszyscy panowie znacie przepisy, których ściśle trzeba się trzymać na polowaniu z obławą i naganką, a tem ściślej, kiedy idzie o wilki. Mam jednak zwyczaj powtarzać je przed każdem polowaniem, którego kierunek został mi powierzony. Dlatego też najusilniej przestrzegam i proszę o ścisłe zachowanie następujących prawideł:

1) Każdy myśliwy, zająwszy wskazane stanowisko, powinien ukryć się, jak można, najlepiej, za drzewem, krzakiem, wywrotem i t. p., tak, żeby go zwierz z kniei nie zobaczył. Jeżeliby jakie gałązki przeszkadzały mu widzieć i celować, powinien je obciąć nożem albo obłamać zawczasu.

2) Od pierwszej chwili, gdy myśliwy stanie na swojem miejscu, ma się zachować spokojnie i żadnym ruchem albo szelestem obecności swej nie zdradzić. O paleniu nawet mowy być nie może. Pamiętajcie panowie, że zwierz ma lepszy wzrok i słuch, niż my wszyscy, a wilk jeszcze i węch doskonały. Stać cicho i nieruchomie od samego początku trzeba i dlatego, że często, kiedy naganka dopiero się rozstawia, wilki już się wynoszą, więc myśliwy, niebaczny mógłby je sam od siebie odstraszyć. Z tego powodu należy zawczasu mieć też i kurki odwiedzione.

3) Najbardziej pilnować gąszczów, bo zwykle tamtędy wilki się przemykają, pod żadnym jednak pozorem nie schodzić ze stanowiska, ani strzelać do żadnej innej, chociażby grubej zwierzyny.

4) Wolno strzelać tylko na bliską metę, gdy strzał będzie dobry i pewny, chyba, gdyby wilk przeszedł już linię myśliwych. Strzelać ten tylko ma prawo, od kogo wilk będzie najbliżej, t. j. bliżej, niż od jego sąsiadów. Ponieważ będziemy stali o pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kroków jeden od drugiego, a w niektórych miejscach nawet i gęściej, nie będzie więc potrzeby strzelać dalej, niż na trzydzieści kroków. Po strzale nabić broń natychmiast, zwłaszcza, jeżeli obydwa naboje były użyte, i stać dalej spokojnie.

5) Można strzelać tylko przed siebie, w knieję, albo już za siebie. W żadnym razie nie wolno strzelać w chwili, gdy wilk jest na linii strzelców, chociażby był jak najbliżej myśliwego.

6) Nie wolno przepuścić wilka za linię bez strzału; to samo zaś, że już doszedł aż do niej spokojnie, byłoby ważnem uchybieniem tych panów, pomiędzy którymiby to nastąpiło.

7) Nie można strzelać do wilka, gdy psy siedzą na nim i szarpią go, bo wtedy łatwo skaleczyć albo i zabić którego; jeżeli zaś psy dobrze trzymają wilka w miejscu lub go położą, to najlepiej dać mu zręcznie *funt* kordelasem.

Jeszcze jedna uwaga: Myśliwi, którzy będą stać na klamrach, gdy łańcuch obławników przyjdzie do nich, powinni zwrócić się do głównej linii strzelców i posuwać się ku niej po klamrze jeden za drugim, w jednakowych od siebie odstępach i przed obławnikami, pilnując, żeby i wtedy wilki nie przedarły się między nimi.

Wreszcie wiecie i to, panowie, że prawo byłoby martwą literą, gdyby nie stała za niem siła egzekucyjna, karząca uchybienia. Jaka zaś jest na polowaniu ta siła, to...

— Sfory! sfory! — wykrzyknął, przerywając mu, pan Michał.

— Więc o tem już wiemy! Zatem uprzedzam, że będę ściśle przestrzegał naszych przepisów bez względu na osobę winowajcy!

Wprawdzie przy tych słowach pan rotmistrz uśmiechał się, ale byłoby rzeczą ryzykowną brać ten uśmiech za nadzieję pobłażania, zwłaszcza, gdy jeszcze dodał:

— Że zaś wszyscy podlegamy jednym i tym samym przepisom, przeto z góry upoważniam i proszę panów, ażebyście, gdybym sam zawinił, złożyli na mnie sąd i wymierzyli karę.

Na razie nikt się nie zdobył na odpowiedź; po chwili tylko pan sędzia podniósł się i, wyciągając ręce do rotmistrza, zawołał:

— Nie oponuję i poddaję się rygorowi, ale pod warunkiem, *primo*: żebyście nie kładli mnie na pieńku ani na kamieniu, bobyście mi pognietli brzuszysko, tylko choć na mchu, a jeszcze lepiej na poduszce, i *secundo*: żebyście mi podesłali jaki kilimek dla respektu szlachectwa.

— Zgoda! zgoda! — odpowiedziały teraz wesołe głosy myśliwych, a pan Michał, ukłoniwszy się sędziemu, oświadczył grzecznie:

— Mam ja wcale jeszcze dobry dywanik turecki i poduszkę safianową, wezmę je więc ze sobą dla wygody pana sędziego...

— Ooo... widzicie go, jaki usłużny! — roześmiał się pan Rohatyński. — A weź, weź! przydadzą się i dla ciebie!

— Jedziemy, panowie! — zakomenderował rotmistrz, spojrzawszy na zegarek. — Ja jadę naprzód, ale proszę trzymać się blisko za mną.

Bryczki pozajeżdżały i ruszyliśmy na wyprawę.

W dobre pół godziny, jadąc i zwracając to w prawo, to na lewo między bagnami i po różnych leśnych drożynach, zatrzymaliśmy się przy małem gołoborzu piasczystem.

Tam pan rotmistrz kazał nam powysiadać, objaśniwszy, że już dalej jechać nie można i że mamy przejść jeszcze ze trzy staje do miejsca, gdzie zacznie się linia myśliwych. Następnie prosił, żeby już przestać palić i rozmawiać, tylko iść za nim cicho gęsiego, i tak przeprowodził nas maleńką i krętą ścieżynką między gąszczami bagnistymi.

Gdyśmy przyszli na miejsce, postawił tam zaraz jednego z myśliwych, wziął z sobą pięciu innych i odszedł z nimi na klamrę, a nam zalecił spokojnie czekać na siebie. Niedługo powrócił sam i rozstawił nas po długiej linii, wskazując ręką, kto i gdzie ma stanąć, i czasem tylko dodając szeptem: „pięć, siedem i t. p. kroków dalej lub bliżej, w prawo albo w lewo“.

Wkrótce przyszła kolej i na mojego ojca, który mnie zatrzymał przy sobie. Rotmistrz poszedł dalej z innymi; widziałem, jak stawiał jeszcze jednego, a potem już znikł mi z oczów...

Cisza była zupełna, słońce świeciło jasno, i przy powietrzu przezroczystem można było, pomimo gąszczów i zawałów, sięgnąć wzrokiem w tę lub ową stronę kniei dość daleko. Prawie co chwila przelatywało koło nas różne ptactwo, i wiewiórki biegały po drzewach. Raz nawet duży jastrząb siadł tak blisko na dębie, że o mało nie palnąłem do niego, a po chwili znów niewiele brakło, żebym sobie zarobił na sfory, bom się złożył już do zająca, który o dwadzieścia kroków przed nami kicał sobie i stawał słupka — ale mnie ojciec za każdym razem powstrzymał.

Tak czekaliśmy ze dwadzieścia minut, w ciągu których niecierpliwość mnie paliła... Nareszcie przed nami, bardzo daleko, odezwała się trąbka, a po niej zaraz dwie inne z boków, już bliżej. Drgnąłem, serce mi młotem zabiło w piersiach na ten sygnał; wytężyłem wzrok, zapuściłem go w knieję i, gotów do natychmiastowego strzału, z palcem na cynglu dubeltówki, upatrywałem wilków...

Tymczasem po sygnale nastała znowu taka cisza, jak gdyby w całej kniei nie było żywej istoty. Trwała przecież zaledwie kilka chwil, bo zaraz potem zaczął już do naszych uszów dochodzić szum bardzo słaby i nieokreślony, podobny do lekkiego i dalekiego powiewu wiatru po drzewach. Szum ten jednak wzmagał się ciągle, przechodząc w coraz wyraźniejsze huczenie, połączone jakby z kołataniem w korę drzew całego stada dzięciołów, rozrzuconego na wielkiej przestrzeni. Huczenie powiększało się także co chwila, i można już było odróżnić w niem kilka donioślejszych grzechotek, a jednocześnie w trzech stronach kniei odezwało się naszczekiwanie psów *zławiających*. Krótkie to zrazu, urywane i niecierpliwe *zławianie* zamieniło się niebawem w donośne i równe granie gończych, pędzących za zwierzem po świeżym i silnym tropie, zaraz potem przeszło znów w jeszcze szybsze i gwałtowniejsze gonienie *na oko* i równie prędko w zajadłe ujadanie i warczenie całej złai, idącej już na zęby z wilkami.

Jednocześnie hukanie, naświstywanie i grzechotanie rosło i powiększało się, a obława, jak nadpływająca fala, posuwała się ku nam, obejmując całą knieję ogromnem półkolem. Jednakże i ponad szumem tej fali górowało zajadłe naszczekiwanie i żarcie się z wilkami dzielnych psów pana Żubrawy, które widać tak gwałtownie rzucały się na bestye i tak je osaczały ze wszystkich stron, że dotąd żaden wilk nie zdołał się podsunąć pod linię myśliwych, bo strzału jeszcze nie było. Obskakiwane bestye musiały jednak rozbiegać się, przypadać w gąszczach i chować, gdyż i psy rozdzielały się także chwilami, niektóre ucinały na moment, lecz zaraz potem jeszcze z większym impetem i zażartością nacierały.

Walka ta w głębi kniei trwała zaledwie z dziesięć minut, poczem wszystkie jej odgłosy zwróciły się na prawe skrzydło obławy. Ale w tej chwili rozległ się donośny wystrzał, widocznie z broni dużego kalibru, a po nim zaraz dwa krótkie i suche strzały z dubeltówki. Teraz dopiero

mignęły przed nami w dali dwa wilki, jeden na obławę, drugi ku prawej klamrze myśliwych, a za każdym z nich pies rozpędzony. W tej stronie padło także kilka wystrzałów, a jednocześnie gońba zmieniła kierunek i szybko zbliżała się do nas. Nagle poruszyła się i zaszeleściła gęstwina i wyskoczył z niej tęgi wilk, a razem z nim trzy psy, rzucające się na niego. Wilk obracał się, kłapał zębami i odcinał — mimo to dwa psy szarpały go za szarawary i z boków, trzeci zaś uchwycił go za kark przy uchu i, mając jedną przednią łapę na jego grzbiecie, wlókł się koło niego a nie puszczał. Ze względu na odległość, strzał był dla mnie możliwy, trząsłem się więc ze wzruszenia i rwałem do broni, ale ojciec nie pozwolił mi strzelić, żebym którego z psów nie zabił. Tymczasem zakotłowało się między nimi, jeden pies skiełknął boleśnie, wilk wyrwał się, ale już był od nas daleko, i oszołomiony, pobiegł po linii myśliwych, którzy palili do niego jeden po drugim...

Kiedy w prawym końcu tej linii, a właściwie już za nią, huknęły ostatnie dwa strzały, obława doszła już do nas. Rozległ się sygnał i zwarty łańcuch naganiaczy zatrzymał się o dwadzieścia kroków przed nami. Trąbki zagrały *pojezdnego*, myśliwi opuszczali swoje stanowiska i schodzili się na niewielkie będące tuż gołoborze, w środku którego stał już pan rotmistrz, a przy nim leśnicy z trąbkami, i na które obławnicy poznosili trofea polowania, zabierane po drodze.

Z siedmiu wilków, które były w kniei, sześć padło na placu, a tylko siódmy zdołał się wymknąć, i to z tego powodu, że jeden z naganiaczy uwiązł w bagienku, a drugi znów, obok idący, chcąc go ratować, sam się przewrócił przez karpę, i zrobioną w ten sposób luką wilk wydostał się za łańcuch.

Stary Zdrojek zabił wilczycę w chwili właśnie, gdy ze szczeniętami, jak to przewidywał pan Żubrawa, chciała się przedrzeć w trzciny. Sam pan rotmistrz, który obok exleśnika stał na klamrze, położył rzadko zdarzającym się dubletem dwa wilczaki. Powstała tylko kwestya, od czyjego właściwie strzału padł stary basior, który przeszedł przez ogień większej połowy linii myśliwych.

Pan Szaramancki zapewniał, że to on sam wpakował mu cały nabój loftek w komorę, kiedy przeciwnie — pan Michał, który miał stanowisko obok niego, dowodził, że właśnie po strzale pana Szaramanckiego wilk sunął jeszcze lepiej, jakby mu zdrowia i sił przybyło. Że jednak pan sędzia strzelał do niego ostatni, pocżem już go zaraz psy dopadły i dodusiły, więc też panu Rohatyńskiemu przyznano honor zabicia lupara i jego skórę. Wreszcie po jednym wilku zabili jeszcze: jakiś młody obywatel, którego nazwiska nie pamiętam, i nasz kucharz Haman, który tak doskonale ukrył się w dole pod karpą, że wilczak sam przyszedł do niego na dwadzieścia kroków.

Udało się tedy polowanie. Panowie myśliwi winszowali sobie tak świetnego rezultatu, chociaż niejednemu, a mnie między nimi, było markotno, że sam nic nie zabił. Otoczyli wszyscy pana rotmistrza i dziękowali mu za trudy podjęte; słusznie i sprawiedliwie należała mu się od nas ta serdeczna podzięka. Widziałem później jeszcze niejedno polowanie na wilki, ale żadne nie wypadło tak pomyślnie, właśnie może dlatego, że ani jedno nie było tak przezornie urządzone i że nigdzie wydane rozporządzenia nie były równie ściśle wykonane jak na tem, chociaż nieraz, i to nie żartem, bywały na tamtych sfory w robocie.

Rotmistrz był w złotym humorze: ściskał podawane mu dłonie na prawo i na lewo, przepraszając towarzyszów za swoje szorstkie i żołnierskie zachowanie się przed polowaniem. Potem zdjął czapkę, ukłonił się wokoło i rzekł:

— Słuchaliście, kochani sąsiedzi i przyjaciele, moich rozporządzeń jako komendanta polowania, wysłuchajcież teraz pokornej prośby waszego sługi i jedźcie wszyscy do mnie na obiad.

— Wiwat nasz komendant! Słuchamy! — odpowiedzieli zebrani, tym razem już jednogłośnie i bez żadnej opozycyi.

# Polowanie z puhaczem.

(Dokończenie).

Od dobrego ustawienia budki zależą często rezultaty, osiągane przy uprawianiu tego rodzaju polowania. Ptaki drapieżne przeważnie i najchętniej ciągną nad pasmem gór i zatrzymują się na wystającej górze, najczęściej siadając od tej strony, z której wiatr im najmniej dokucza.

Takie miejscowości najwięcej się nadają do ustawienia budki. W braku zaś takiego położenia, a mianowicie na płaszczyźnie, wybiera się miejsca, które cokolwiek wyżej są położone, a w których bliskości znajduje się woda; nigdy zaś nie należy stawiać budki za blisko lasu, gdyż w tem położeniu ptaki osiadałyby na skraju lasu i zdaleka obserwowały ruchy puhacza.

Rozumie się, że trzeba unikać tych miejsc, do których ludzie mają ciągły przystęp. Ponieważ jesienią przeważnie wieją wiatry zachodnie i zachodnio-południowe, wybierać więc należy położenia temu kierunkowi odpowiednie.

Budki stawia się pod ziemią i nad ziemią; podziemne są o wiele praktyczniejsze i dogodniejsze, gdyż mniej zwracają na siebie uwagi ptactwa drapieżnego; nad ziemią zaś stawia się budki, jeżeli teren, na którym ciąg ptaków mógłby być najponętniejszy, jest mokry lub grząski.

Wnętrze budki powinno być dość przestrone, aby swobodnie można się było poruszać i wygodnie stać wyprostowanemu, musi mieć zatem przynajmniej 2 m. szerokości i tyleż wysokości. Główny otwór do strzelania robi się od północy, ze względu na promienie słoneczne; drzwi zaś od budki umieszczone być mogą naprzeciw tego otworu.

Urządzanie jednego tylko otworu jest wielkim błędem — drapieżnika możemy mieć nietylko w kierunku puhacza — wreszcie za niejednym chybionym można posłać strzał w przeciwnym kierunku, nawet w dachu sporządzony otwór oddać może czasem wielką usługę. Główny otwór, znajdujący się na wysokości $1^1/_2$ metra, powinien mieć 30 cm. sze-

rokości, a 12 cm. wysokości — inne otwory (w każdej ściance po jednym) mogą być mniejsze (mniej więcej 20 : 10 cm.)

Przed każdym otworem powinna się znajdować dokładnie dopasowana zasuwka — urządzana do zamykania z wewnątrz.

Otwory nigdy nie powinny się znajdować naprzeciw siebie, bo choćby nawet zasuwka zamkniętą była — to jednak zdarzyć się może, że słońce, przechodzące przez budkę, zdradzi myśliwego. Dla tego otworem, znajdującym się we drzwiach, nader rzadko posiłkować się można.

Podłoga w budce powinna być wyłożona matami lub rogożami dla zachowania możliwej ciszy. Pod ścianami stać powinna ławeczka do siadania, zaś z prawej strony głównego otworu, znajdować się winno miejsce na stawianie broni. Przydatny jest także stołek ogrodowy, na którym w środku budki siedząc, można obserwować przez otwór do strzelania ruchy puhacza.

Ściany podziemnych budek muszą być murowane, wnętrze zaś czarno malowane. Najważniejszą rzecz stanowi dokładna i dobra konstrukcya ściany szczytowej, którą stawia się z dębowych bali. W środku mieści się, mniej więcej na wysokości twarzy myśliwego, otwór do strzelania, wcięty koniecznie, ściana zaś szczytowa jest ustawiona pod kątem 45° do powierzchni horyzontalnej.

Drzwi buduje się mocne, z dębiny, z zamkiem, aby zapobiedz najściu nieproszonych gości, dla zabawki niszczących z mozołem ustawiony przyrząd do polowania. Naokoło budki w promieniu 25 kroków, należy wykopać rów 80 cm. szeroki, a 50 cm. głęboki, z burtą na zewnątrz, który służyć ma do zapobiegania ucieczce postrzelonych ptaków drapieżnych. Dach i ścianę szczytową należy smołą wysmarować i następnie obsypać ziemią, aby tym sposobem budka jak najmniej wystawała ponad ziemię i mniej na siebie zwracała uwagi. Ponieważ nie zawsze nadarza się sposobność wszystkie ptaki w lot strzelać, ustawiamy przeto w pobliżu palika jeden lub dwa stare pnie, wysokości 8—10 m., których konary skierowane być winny w stronę puhacza. Jeden z doświadczonych myśliwych zaleca nawet pobudować nasypy, naśladując małe wzgórza, lub nagromadzić wysokie kamienie niedaleko od budki, niektóre bowiem ptaki drapieżne niechętnie siadają na drzewach (kanie najczęściej siadają na kamieniach).

Nadziemne budki składają się także z 4-rech ścian z drzewa (zieloną farbą pomalowanych) i dachu. Każda z tych ścian stanowi odrębną całość a zespaja się z bocznemi za pomocą haków i tak samo się rozbiera. Dla tej przyczyny są łatwo przenośne i podług niektórych myśliwych stanowią przewagę nad podziemnemi budkami. Niektóre ptaki, bystrzej się oryentujące, łatwiej zapoznawać się mają z miejscowością i unikają tych miejsc, gdzie już strzelano. Namioty wojskowe nadają się także do tego rodzaju polowania. Zazwyczaj bywają tej wysokości, iż wygodnie można z nich strzelać, a dogodniejsze są dlatego, że łatwiej można je ustawić za pomocą linek, a następnie nakryć gałęziami. Lepsze nakrycie osiągniemy, ustawiając taki namiot, a raczej opierając go o jakieś krzewy lub zarośla. Pewien niemiecki myśliwy, jako przenośną budkę, używał przyrządu w kształcie parasola i osiągał dobre rezultaty.

Następca tronu austryackiego, ś. p. arcyksiąże Rudolf, znakomity myśliwy, ornitolog i wielki zwolennik polowania z puhaczem, zasadzał się na kanie w gęstem sitowiu, a puhacza umieszczał na wysokim drągu na jakie 20 kroków przed sobą i tym sposobem osiągał nadspodziewane rezultaty.

Zakładanie ścierwa w pobliżu puhacza o tyle jest przydatne, iż czasami i lis dostaje się w pułapkę.

Jako główną zasadę przyjąć należy: tylko wtenczas strzelać z budki, skoro ptak drapieżny opuszcza się nad puhaczem, lub znajduje się między puhaczem a budką.

Śrutu używać należy przeważnie Nr. 6, lecz godzi się pamiętać i o grubszym numerze Nr. 3; gdyż skoro się poszczęści i orzeł zacznie się pławić, Nr. 6. okaże się nie wystarczającym, a sposobności tak rzadkiej myśliwy nigdy nie zapomni.

Do tego rodzaju polowania używa się broni najkrótszej, jaką posiadamy. Rzadko się zdarzy strzał na dalszy dystans, a krótka broń jest dogodniejsza, zwłaszcza, jeżeli komu szczęście dopisuje i szybko a często musi strzelać. Upolowane ptaki należy jak najprędzej usuwać; postrzelone zaś wrony dłużej pozostawiać, gdyż krzykiem zwabiają inne.

Do zbierania ubitych ptaków używają wyżłów. Ma to dobre i ujemne strony. Aportowaniem wron wprawiają się młode wyżły; przy gwałtowniejszych jednak drapieżnikach z ostrymi szponami narażamy psa na okaleczenie, a co najgorsze na możliwe pozbawienie oka. Mojem zdaniem, psów angielskich czystej krwi (czy to pointerów, czy setterów) do tego używać nie należy — pies niemiecki, lub nawet zwykły kundelek aportujący, dostateczne usługi oddać może.

Jak już raz mieliśmy sposobność nadmienić, można od czasu do czasu wychodzić z budki; wystrzegać się atoli należy patrzenia przez główny otwór strzału.

Do tego niech służą otworki mniejsze. Przed strzałem zachowywać się należy spokojnie, bez szelestu — stojąc w pośrodku budki i śledząc pilnie ruchy puhacza. Mogąc się spodziewać szlachetniejszego gatunku drapieżnika, nie należy strzelać do każdej wrony — przeciwnie, należy je odstraszać, ku czemu pokazanie się na chwilę przed budką zupełnie wystarcza.

P o l o w a n i e z w y p c h a n y m p u h a c z e m. Nie każdy z myśliwych jest w możności trzymania żywego puhacza; trzeba mieć *czas* i okoliczności do odpowiedniego traktowania go, *miejsce*, gdzieby mu klatkę właściwą zbudować można, wreszcie *pieniądze* na zakupienie i wyżywienie tego oryginalnego i dobrym apetytem obdarzonego ptaka.

Niejeden myśliwy oddawałby się jednak z zamiłowaniem temu ciekawemu i pożytecznemu sportowi, nawet przy pomocy wypchanego puhacza, gdyby nie dające się często słyszyć zdanie, że wypchany puhacz nie daje żadnych rezultatów.

Przekonanie to jednak zupełnie jest nieuzasadnione, o ile nie dotyczy puchacza wypchanego *w sposób niewłaściwy*. Ogłoszenia, jakie spotykamy często w niemieckich tygodnikach przekonywują nas, że panowie wypychacze prześcigają się pomysłowością w swoich, jak oni nazywają, *najbardziej do natury zbliżonych* preparatach. Doszło w końcu do tego, że dodają puhaczowi mechanikę, za pomocą której jego naturalne ruchy: kręcenie głową, kurczenie ciała, podnoszenie skrzydeł i t. p., osiągnąć można i to w sposób rzeczywiście zadziwiający. Zręczny jakiś mechanik ogłaszał nawet puhacza *z przyrządem zegarowym*, który po prostu co parę godzin nakręcany pozwala puhaczowi *zupełnie samodzielnie pracować. (!)*

Czołem przed pomysłowością niemiecką i postępami mechaniki! Ale ci majstrowie, ci mechanicy są w błędzie jeżeli sądzą, że rezulat polowania z puhaczem zależny jest od ich preparatów, mających do złudzenia naśladować naturę! Jakkolwiek zręczną byłaby ich robota, a doskonała maszynerya prawidłowo funkcyonować będzie, drapieżniki poznają się zawsze na oszustwie i zamiast nienawiści, niedowierzanie okazywać będą.

Bo też dziwnem byłoby, gdyby zwykle tak chytre i przebiegłe jastrzębie, lub krukowate nie poznały się na ptaku, który np. zwracać będzie głowę opatrzoną w szklanne nieruchome oczy na prawą stronę, podczas kiedy nieprzyjaciel z lewej strony atakować go zamyśla.

Chcąc mieć puhacza wypchanego tak, aby celowi odpowiedział, należy zażądać od preparatora, aby ptaka wypchał siedzącego na drążku, dając mu *jak najzwyklejszą* postawę; upierzenie jego nie potrzebuje być bez zarzutu, łapy mogą nie być staranie postawione, oczy niekoniecznie paryskie — wszystko to znacznie na cenę wpływać będzie. Zgodnie z doświadczeniem niemieckich myśliwych głowa wypchanego puhacza musi być cokolwiek schylona — aby ptaki nie mogły dostrzedz martwoty szklanych oczów, gdyż będą odlatywały.

Mając na względzie, że żadne porządnie prowadzone myśliwstwo bez puhacza odbywać się nie może, że puhacz żywy jest dość rzadki i stosunkowo kosztowny, za polowaniem z wypchanym zawsze bardzo gorąco przemawiać będę. Bardzo jest korzystnem kłaść blisko palika wypchanego zająca (odwróconego brzuchem i krwią powalanego), kaczkę, królika, gołębia i t. p. Każdy myśliwy wie, jak korzystnem jest zostawiać przy puhaczu zabite np. wrony, które tym sposobem zwabiają inne, już to przez wzajemną nienawiść, już to przez chęć popełnienia kradzieży na cudzej zdobyczy.

Jednego wszakże brak nam przy polowaniu z wypchanym puhaczem: t. j. *markowania*; zwraca ono uwagę myśliwego na zbliżającego się drapieżnika, z zachowania się ptaka pozwala mu prawie na pewno wnioskować o rodzaju napastnika, a to nadaje temu oryginalnemu polowaniu wdzięk i urok szczególny. Myśliwy zaś, polujący z wypchanym puhaczem, musi zawsze mieć broń w ręku, trzymać niemal palec na cynglu — najniespodziewaniej bowiem może uderzyć rzadki okaz drapieżnika i zastanie myśliwego nieprzygotowanym do strzału wobec martwoty puhacza — niepodrażniony nie wróci więcej, a myśliwy żałować będzie, gdyż taka okazya nie prędko może mu się zdarzyć.

# KORESPONDENCYE.

Lwów, we wrześniu.

**(Jeszcze z powodu języka wyścigowego).**

Uwagi, podane w czerwcowym zeszycie „Łowca“ o „języku na torturach wyścigowych“, wywołały odpowiedź *Jeźdźca i Myśliwego* — co prawda dość zgryźliwą. W tem, co nasz korespondent pisał, tkwi głęboko nuta bardzo poważna, serdeczna obrona jednego z najdroższych naszych skarbów, języka ojczystego, którego nam kazić nie wolno — forma wszakże, w której to wypowiedział, była przedewszystkiem żartobliwa, choć przyznajemy, że dosyć cięta. Redakcyi *Jeźdźca i Myśliwego* wydało się to grubiaństwem. Pokazuje się przeto, że na odległość stu mil można mieć dość odmienne pojęcia o żarcie i grubiaństwie i zamiast odprawy literackiej, danej równą bronią, spotkać się ze zgryźliwością.

Ale ani naszemu korespondentowi, ani nam nie idzie w tym wypadku o czczą szermierkę słów i o formę polemiki, lecz o rzecz samą, i dlatego drażliwość, z jaką *Jeździec i Myśliwy* uwagi „Łowca“ podejmuje, budzi w nas nadzieję, że sama rzecz nie będzie zaniedbaną, i że choćby za pomocą obrad jakiejś komisyi „sportsmeńsko“-językowej — co sam redaktor *Jeźdźca i Myśliwego* zdaje się dopuszczać — dojdzie do takiego ustalenia wyścigowego języka, ażeby on ludzi, przestrzegających czystości języka, nie darł po uszach. Pragnęlibyśmy razem z *Jeźdźcem i Myśliwym* mieć tę ambicyę, aby nasz polski jeździec i wyścigowiec miał swój typ odrębny, na tradycyach jazdy końskiej w Polsce oparty i przestał być mizerną kopią angielskiego sportsmena. Bo że ta cała anglomania w naszych wyścigach jest śmieszną, i całą nawet hodowlę koni wyścigowych czyni dla znacznej części społeczeństwa obcą a nawet niesympatyczną — to nie ulega wątpliwości.

Że jest możność poprawienia rzeczy przy pewnej staranności, tego najlepszym dowodem sprawozdania samego *Jeźdźca i Myśliwego* z jesiennych wyścigów. Nie podnosimy tego w niesmacznej roli mentora, lecz z całą życzliwością koleżeńską sprawdz my, iż w sprawozdaniach tych zdołała redakcya *Jeźdźca i Myśliwego* uniknąć wielu koszlawizn językowych, które, chociaż znalazły prawo obywatelstwa w ustach „sportsmenów“ na torze wyścigowym, nie powinny były nigdy znaleść przystępu do pism w języku polskim redagowanych. Miejmy nadzieję, że i dalsze inne nieszczęśliwe zboczenia językowe dadzą się z dzisiejszej zawodowej gwary jeździeckiej usunąć i nastąpi stan prawidłowy n i e  k a l e c z ą c y  m o w ę  p o l s k ą  d ż o k e j e  a n g i e l s c y  b ę d ą  w y t w a r z a l i  g w a r ę  j e ź d z i e c k ą,  l e c z  p i s m o  z a w o d o w e, a za niem pójdą wszyscy, którzy odczuwają jeszcze serdeczną potrzebę pielęgnowania czystości języka.

Po tem, cośmy tu powiedzieli, wolno nam będzie pozostawić chyba bez odpowiedzi obronę szczegółów i wzajemne zarzuty, jakie korespondencyi naszej *Jeździec i Myśliwy* czyni, a to tem bardziej, że odpowiedzi na najważniejsze wytknienia korespondenta nie ma tam wcale. Że korespondent nie jest fachowym „sportsmenem“, nie potrzebowała mu aż redakcya *Jeźdźca i Myśliwego* wytykać, bo korespondencyę swą zaczął wyrazami „Nie jestem koniarzem“. Ze spokojem może też znieść gromy za brak znawstwa tajemnic wyścigowych — ale tem przyjemniej zapewne będzie mu, że w tem, o co mu jedynie chodziło, tj. w sprawie czystości języka, nie wystąpił bez powodzenia.

My zaś tak dalece wolni jesteśmy od drażliwości osobistych, skoro idzie o sprawę wyższego rzędu, że zaraz w lipcowym zeszycie „Łowca“ zamieściliśmy z wszelką skwapliwością korespondencyę W. Spausty o „torturach języka myśliwskiego“, a nawet przyznaliśmy się sami do błędów. Jeżeli tedy *Jeździec i Myśliwy* wejdzie nieco głębiej w rzecz, to również sam będzie musiał w końcu przyznać, że i jego irytacye były nie na swojem miejscu, bo tu nie idzie o słabostki osobiste, lecz o rzecz, która wyżej ponad nie powinna być trzymaną — o cześć dla mowy ojczystej.

Pozostaje nam drobny, gospodarski szczegół. Redakcya *Jeźdźca i Myśliwego* zdaje się przy końcu robić nam zarzut, żeśmy w swoim czasie powtórzyli za nim korespon-

dencyę z „Lasów Szepetowieckich“ i artykulik „Łoś na wabia“. „Wówczas nie raziły go („Łowca“) ani styl ani wyrażenia!“ — dodaje *Jeździec i Myśliwy*. W istocie korzystaliśmy w swoim czasie z pomienionych dwóch, wybornie napisanych artykułów, podobnie jak teraz korzystamy z przeważnej części artykułu „Polowanie z puhaczem“, podając źródło, z którego czerpiemy. Możemy przy tej sposobności wynurzyć naszą radość, że *Jeździec i Myśliwy* przedrukowywał także z „Łowca“ sprawozdania o pawilonie łowieckim na Wystawie r. 1894, o polowaniach w St. Johann u bar. Hirscha i może inne artykuły — bo z chęcią widzimy, jeśli ktoś z pisma naszego korzysta. Robimy to po koleżeńsku — cytujemy się wzajemnie — i chyba z tego powodu nie powinniśmy sobie nic mieć do wyrzucenia.

*Redakcya „Łowca“.*

---

Lwów we wrześniu 1896.

**(Co się dzieje z ustawą łowiecką?)**

W kołach myśliwskich coraz częściej słyszy się zapytanie: Co się dzieje z ustawą łowiecką? Są jej zwolennicy, są i przeciwnicy — wszyscy wszakże muszą przyznać, że ostatnia w sejmie uchwalona ustawa uregulowała i postawiła na jasno wiele rzeczy, które dotychczas były i są wątpliwemi, że nawet wiele słusznych żądań, wyszłych z pomiędzy ludu wiejskiego, uwzględniła i nadała przepisom łowieckim większą ścisłość, zgodną z wymaganiami życia społecznego i racyonalnego myśliwstwa.

Dlaczegoż p Minister spraw wewnętrznych nie podaje ustawy do najwyższej sankcyi? Czyż to pożądane, że sprawy łowiectwa, nie uporządkowane, dające dziś tyle powodów do sporów i skarg ze strony ludu — ciągle są jako środek agitacyjny na wiecach włościańskich podnoszone? Czy to jest wskazanem, ażeby broń tę pozostawiać ciągle agitatorom radykalistycznym i nie wytrącić jej im z rąk?

Cokolwiekby mówili malkontenci, gdyby ustawa sankcyonowana zaczęła obowiązywać, zawszeby się stosunki w krótkim czasie ułożyły. Prawo obowiązujące ma swoją powagę, nawyknięto by doń niebawem, poddanoby mu się i pokazałoby się wkrótce, że w obrębie paragrafów tegoż da się niejedno złe, na które dziś krzyczą, usunąć. A gdygdyby praktyka wskazała ostatecznie, że należy w ustawie to i owo zmienić i poprawić, toć na to są możliwe nowele w krajowem ciele ustawodawczem. Tak zaś, jak teraz jest — jest najgorzej.

Może te uwagi dojdą do Wiednia, do Koła polskiego i do biur ministerstwa spraw wewnętrznych i przypomną, że ustawa łowiecka zbyt długo się już w Wiedniu marynuje i że należałoby dla niej uzyskać sankcyę cesarską.

*Z.*

Radwańce we wrześniu.

**(W jakich lasach trzyma się zwierzyna?)**

Zdanie, rzucone w korespondencyi w „Łowcu“ Nr. 4 przez jednego z panów delegatów Tow Łowieckiego: „to pewne, że u dobrego leśniczego trzyma się zawsze zwierzyna“, — zniewala mnie do zabrania głosu. Co to jest dobry leśniczy — mianowicie w opinii myśliwego? Czy on zawsze będzie dobrym i w obec wymogów postępowego leśnictwa, i w oczach właściciela lasu? Przymioty leśniczych przez właściciela mogą być bardzo względnie oceniane. Dla jednego będzie ten leśniczy dobrym, który racyonalnie gospodaruje, dla drugiego ten, który las konserwuje, dla trzeciego taki, który z lasu największe korzyści ciągnie bez względu na przyszłość, dla czwartego, ten znów, w którego lesie trzyma się zwierzyna, bez względu na inne okoliczności — a wreszcie może być i taki właściciel, dla którego każdy leśniczy jest wybornym, byle tylko z Czech lub Niemiec pochodził, a nie był krajowcem.

Tymczasem zwierzyna w lesie może się obejść bez leśniczego, byle miała sprzyjające warunki; jeżeli zaś tych warunków niema, to i leśniczy ich na razie nie stworzy, i dopiero przez dłuższy czas na żądanie i kosztem właściciela do pewnego stopnia wyrobić je może.

Czy większy stan zwierzyny dzikiej w lesie dla lasów jest korzystny? — to inna sprawa i w rozbiór jej wchodzić tu nie myślę, konstatuję tylko, że do żywocenia zwierzyny dzikiej po lasach potrzebne są koniecznie warunki sprzyjające a mianowicie: obfitość żeru, spokój i ochrona. Jeżeli warunków tych nie znachodzi w lesie, to się w nim w większej ilości trzymać nie będzie, — bo ani się wyżywi, ani rozmnoży, ani spokojnie usiedzi. Obfitość żeru utrzymuje zwierzynę w liczbie, w sile i w energii do mnożenia się liczniejszego — spokój daje jej swobodę naturalną, niezbędną do żywienia, mnożenia się i wypoczynku — ochrona zaś daje pomoc w chwilach bardzo ciężkich, jak wielkie mrozy, zawalne śniegi itd. Trzyma się przeto i rozmnaża zwierzyna w tych lasach, w których drzewostan jest zwarty lub gęsto zaroślami podszyty, gdzie las graniczy z pasznemi łąkami i ornymi gruntami, gdzie odpowiednia ilość zrębów i zapustów się znachodzi, gdzie jest podostatkiem wody i — a to rzecz najgłówniejsza — w którym od wiosny do jesieni panuje cisza i spokój, gdzie ani bydła nie pasą, ani ludzie po grzyby i jagody nie chodzą, ani psy wiejskie i kłusownicy się nie włóczą.

Nie ma prawie lasu, w którymby nie można podobnego stosunku stworzyć i utrzymać, zależy to jednak od właściciela; właściciel tylko może zrzec się dochodów z paszenia i zbierania grzybów i jagód po lesie na korzyść zwierzyny, leśniczego zaś obowiązkiem będzie dopilnować tego i dołożyć starań, aby zwierzynie niektóre braki natury sztucznie uzupełnić.

Że każdy leśniczy pewnie chętniej widziałby zwierzynę w lesie niż konie i bydło, to nie ulega wątpliwości, — lecz skoro jest zależny od właściciela lub jego pełnomocnika, których wolę ściśle wykonać jest obowiązany, a ci się na to nie godzą, czyż może z własnych chęci czynić ustępstwa zwierzynie?

Przy dzisiejszej intenzywnej gospodarce rolnej, a stąd trzymaniu licznego bydła, w braku paszy w lecie nie da się prawie obejść bez używania pastwiska po większych lasach; pastwisko to jednak dałoby się tak obmyśleć, żeby nie naruszać zbytecznie spokoju zwierzyny. W lesie n. p. tysiącmorgowym powinno znachodzić się mniej więcej czterysta morgów w zrębie i zapustach nienaruszalnych, sześćset zaś morgów lasu już starszego, w którym paszenie drzewostanowi szkody większej nie wyrządza, mogłoby być na trzy części rozdzielone i obrócone na pastwisko dla bydła tak, aby się ono stopniowo i systematycznie z jednej do drugiej części co kilka dni w miarę podrostu traw przenosiło.

Przy pasaniu takiem, zwierzyna miałaby w $^4/_5$ części lasu spokój i swobodę i nie byłaby po całym lesie codziennie przepędzana, jak to się dziś dzieje przy paszeniu bydła naraz po całej przestrzeni leśnej.

Zbieranie grzybów i jagód na podstawie rozdawanych kwitów i puszczanie ludzi po całym lesie i każdego czasu,

powinno być także stanowczo wzbronionem. Zbieranie grzybów i jagód odbywa się przeważnie przez kobiety i dzieci, które czy to z wrodzonej gadatliwości, czy też z obawy, tyle zawsze hałasu i huku w lesie narobią, że potrzebaby mieć chyba zwierzynę głuchą, aby o tej porze w lesie usiedziała. Jeżeliby zaś zbieranie grzybów i jagód we własnym zarządzie pod nadzorem leśnym przyniosło pewną korzyść właścicielowi, natenczas możnaby zbieranie to przedsiębrać na własny rachunek, przechodząc las zbieraniem koleją, podobnie jak z paszeniem bydła, i pilnując przytem, aby hałasów nie wyprawiano.

Powyższe uwagi, w jakich lasach trzyma się zwierzyna, odnoszą się przeważnie do pory letniej. W późnej jesieni lub zimą, jeśli idzie o to, aby zwierzyna trzymała się pewnych miotów i nie rozchodziła się po lasach sąsiednich za żerem, jeżeli zręby i zapusty nie dostarczają jej we własnym lesie potrzebnego pożywienia, należy ją karmić sztucznie podawaniem siana, koniczu i owsa snopami, przyczem i lizawki w dostatecznej ilości po lesie umieszczone i utrzymywane być powinny. Nawiasem wspomnę tu, że zającom sprzyjają więcej lasy liściaste, pagórkowate, suche, otoczone polami i słodkiemi łąkami, sarny zaś więcej lubują sobie las szpilkowy, nizinowy, a potrzebują większych obszarów i większego spokoju w lesie. Czasem motylica przez pół przetrzebi stan sarn w mokrych lasach, wilki nieraz wielką szkodę w stanie sarn wyrządzą, nigdy jednak tak ich nie zniszczą, jak ciągły hałas i paszenie bydła przez lato. Dzikom sprzyjają lasy gęste, spokojne, z żołędzią lub bukwą, albo też graniczące z polami, obsadzanemi kartoflami, z których jesienią i zimą żer pobierają; lubią przytem i moczary. A więc kto chce mieć zwierzynę w lesie, musi jej dać sprzyjające warunki, jeżeli zaś tych nie da, to żaden Czech ani Niemiec rozmnożyć jej tam nie potrafi.

*Józef Obrębski.*

---

### Do przysłowiowych dykcyi łowieckich.

Jeden z przyjaciół naszego pisma, stary charciarz *in partibus infidelium*, przysyła nam następującą dykcyę łowiecką:

„Więc pies garbaty, ale suka płaska,
Jeśli zając ujdzie, dziwna boża łaska.“

Prosimy o dalsze uzupełnianie naszego zbioru!

# KRONIKA.

**Administracya „Łowca“** prosi usilnie szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle abonentów „Łowca“, którzy jeszcze dotąd z wkładką za rok 1896 zalegają, ażeby zaległości w ciągu najbliższych tygodni uiścić raczyli. W razie nieuszczenia do dnia 15-go listopada b. r. uważać się będzie Sekretaryat gal. Towarzystwa łowieckiego upoważnionym do ściągnięcia zaległości przez pocztę, i najbliższy numer „Łowca“ prześle zalegającym członkom za pobraniem pocztowem.

---

**Raul Dombrowski**, jeden z najcelniejszych pisarzy w zakresie literatury myśliwskiej, zmarł dn. 12 b. m. Praktyczny i zamiłowany myśliwy, posiadał on szersze wykształcenie i ogólniejszy pogląd na sprawy łowieckie, wolny był wszakże od tej pedanteryi uczonych niemieckich, którzy o rzeczach przyrody i żywego naocznego badania, od zielonego stolika sądzą i rozstrzygają. Nadto odznaczał się Dąbrowski poetycznym zakrojem w swych obrazkach myśliwskich, tak, iż nabierały przez to nietylko fachowej lecz i literackiej wartości. Dombrowski pochodził ze zniemczałej rodziny polskiej, pisywał więc tylko po niemiecku. Jego mongrafie „Das Reh“, „Das Edelwild“ „Der Fuchs“ pozostaną zawsze cennemi studyami łowieckiemi, podobnie jak „Ungereimte Waldpoesie“ „Zwölf Waldbilder“ „Jagdskizzen“ itd. przypominać go będą jako niepospolitego miłośnika przyrody i znawcę jej uroków.

---

**Atak jelenia.** Z Gmunden donoszą, że ks. Albert Wirtemberski postrzelił na polowaniu w Hintersteier d. 29 zm. jelenia, który zwrócił się nagle przeciwko księciu i strzelcom i poobalał ich na ziemię. Książę ma zgniecione lewe ramię i środkowy palec prawej ręki skaleczony. Obrażenia strzelców są lekkie. Polowanie przerwano, a książę z synami powrócił do Gmunden.

---

**Zdziczałe owce.** W siedmiogrodzkich Karpatach, w miejscowości Felsö Vist, zabłąkały się cztery owce i stary baran zeszłej jesieni w górach, tak, że nie można ich było odszukać. Pod wodzą doświadczonego barana powiodło sie owcom przebyć zimę w górach, uniknąwszy pazurów niedźwiedzia i kłów wilka. Tego lata, przy sposobności polowania na kozice, ujrzał je jeden z myśliwych. Zdziczały tak, że podobnie jak kozice zrywały się za najmniejszym szelestem przeskakując ze skały na skałę. Myśliwy obserwował je przez szkła i zauważył, iż okrywała je bardzo gęsta i długa, aż do ziemi spadająca wełna.

---

**Z polowania na foki.** Niedaleko Szpitzbergu udało się czterech myśliwych łódką na polowanie na foki. Jeden z nich, ujrzawszy fokę, rzucił na nią harpunem, do którego przymocowaną była lina. Raniona foka zwróciła się rozwścieklona przeciw łódce i wbiła potężne kły w jej przednią część. Jednemu z myśliwych udało się zepchnąć fokę z łódki, lecz ta rzuciła się ponownie na łódkę i skutkiem ciężaru swego cielska przewróciła ją. Myśliwi wpadli do morza. Z wielkim wysiłkiem wydostali się na wierzch przewróconej łódki, lecz nadaremnie, gdyż rozbestwione zwierzę napadło ponownie na nich i zepchnęło ich do wody. Skutkiem tego utonęło trzech myśliwych; czwarty zdołał się uratować.

O podobnych wypadkach napadu fok wspomina zmarły badacz bieguna północnego Astrup. Podaje on w swem dziele o wyprawie Peary'ego do północnej Grenlandyi następujące ciekawe szczegóły. Czterech członków tej wyprawy wyruszyło w zatoce wielorybiej na polowanie i postrzeliło fokę, która leżąc na krze lodu wygrzewała się do słońca. Ku największemu zdziwieniu myśliwych ujrzeli się oni naraz otoczeni przez kilkadziesiąt fok, które, rycząc i sapiąc, usiłowały kłami zahaczyć się o łódkę. Tylko dzięki szybko strzelającym karabinom, zdołali myśliwi uniknąć bliższego zetknięcia się z nieproszonymi gośćmi.

Tym sposobem postradało dawniej życie wielu myśliwych, polujących na foki. Na Szpitzbergu i wyspie Niedźwiedziej gnieździły się foki w dawniejszych czasach w niezliczonej liczbie; skutkiem nadmiernego tępienia, znajduje się ich tam już dziś niewiele.

---

**Już i w Afryce**, z powodu zbyt licznego najazdu sportowców, gotowych do dziesiątkowania grubego zwierza łownego, zarządziła Anglia w posiadłościach, pozostających pod jej zarządem, ochronę zwierząt łownych. I tak w kraju Beczuanów każdy, kto chce polować na hipopotamy, nosorożce, bawoły, zebry, kwagi i antylopy, musi kupić z urzędu za 75 funtów szterlingów licencyę, a oprócz tego zapłacić 25 f. s. naczelnikowi plemienia murzyńskiego, na którego terytoryum myśli polować. Czas ochrony wymienionych zwierząt naznaczono na miesiące od września do lutego. W kraju Zulusów takie same obowiązują przepisy, a przekroczenie ich ściąga na przestępcę surowe kary.

**Sławna małpa** Do zwierzyńca Schönbruńskiego w Wiedniu dostała się teraz bardzo sławna małpa. Była ona ni mniej ni więcej tylko towarzyszem dra Jamesona w głośnej jego wyprawie transvaalskiej, a cudownym sposobem ocalała przy strasznej eksplozyi w Johannesburgu. Jest to pawian, który w czasie wyprawy Jamesona był w Johannesburgu w posiadaniu jednej z tamtejszych rodzin, gdzie się bardzo z dziećmi zaprzyjaźnił. Właśnie podówczas nastąpił straszny wybuch, który wiele domów w gruzy obrócił i setki ludzi o życie przyprawił. Wybuchem objęty był także dom, w którym był nasz pawian i dwoje dzieci. Wszystko poszło w gruzy, prócz jednej izby, która ocalała. Gdy się do niej dostano, znaleziono jedno dziecko przez spadające gruzy zabite, drugie zaś, całe i uśmiechnięte, trzymał w objęciach pawian, siedzący poważnie w fotelu. On przeto uratował życie dziecięciu, które samo jedno z całej rodziny katastrofę przeżyło.

Gdy dziecię poszło do krewnych na wychowanie, pawian dostał się drogą kupna bawiącemu podówczas w Transvaalu hr. Sternbergowi, a później ks. Salmowi, który go do zwierzyńca w Schönbrunie ofiarował.

Dziś, gdy kto Schönbrun zwiedza i przed zagrodą małp się zatrzyma, staje sławny pawian w postacie żołnierskiej przed zwiedzającym, podnosi rękę do skroni, jakby salutując — a potem patrzy się bystro w oczy wzrokiem przenikliwym i rozumnym, jak gdyby chciał przygody swe opowiedzieć — cóż, kiedy biedny człowiek małpiej mowy jeszcze się nie wyuczył!

---

**O psach w Chinach** pisze podróżnik p. Köhler-Gera co następuje: Chińczyk nie zdołał, podobnie jak inne narody na ziemi, wychować w psie przyjaciela człowieka i jego rodziny. Pies należy w Chinach, tak jak kot u nas, do domu a nie do jego pana. Nigdy też nie widać, aby szedł za panem; idzie co najdalej do progu, ale nie poza dom.

Chiński pies, a mianowicie kundys północno-chiński, nie jest też zwierzęciem sympatycznem. Na ulicach Pekingu i Tientsinu spotyka się mnóstwo psów nie będących niczyją własnością, które się żywią najrozmaitszymi i najobrzydliwszymi odpadkami. Są one bardzo nieczyste i tchórzliwe.

W południowych Chinach jedną z najwybitniejszych ras psich jest szpic kantoński, zwany przez Anglików „chowdog“, tuczony często na pieczeń. Na północy hodują także jedną małą rasę psów, pekińską, rodzaj angielskich „King-Charles“. Zdaje się, iż są one przed wiekami z Japonii importowane. Są między niemi odmiany krótko- i długo-włose. Długowłosy piesek jest bardzo lubiany i nosi nazwę shih-tze-kao, to znaczy tyle, co lwi piesek. Służy on też nieraz malarzom chińskim za wzór lwa, którego tu ówdzie na pejzażach umieszczają, dając mu najczęściej... zieloną barwę. Lwie pieski bywają maści bardzo rozmaitej; najbardziej lubianymi są czarne, żółto-brunatno znaczone, przyczem dwie plamy żółte nad oczami są uważane za celniejszą ozdobę. Chińczyk nazywa pieska takiego czworo-okim i przypisuje mu szczególne zalety czujności.

Chińczyk nie nadaje psom specyalnych imion, lecz nazywa je wedle ogólnych znamion n. p. „ahwang“, żółty, „ah-hak“, czarny itd. Rozszerzonym między Chińczykami jest przesąd, że jeśli suka ma 9 szczeniąt, to najlepszym psem będzie ostatnie szczenię; z góry nadają mu też nazwę „wang“, król, i starają się go z szczególną troskliwością wychować.

Zresztą nie jedzą w Chinach tak wiele psiego mięsa, jak o tem powszechnie mniemają. W południowych Chinach pojawia się tu i ówdzie na stole tuczony pies jako przysmak, na odmianę z prosiakami, lecz na północy śmieją się z ludzi jedzących psy, podobnie jak u nas. To samo tyczy się spożywania kociego mięsa; trafia się to czasami, lecz pieczeń kocia jest uważana za rodzaj lekarstwa.

---

**Co może wytrzymać kudłacz?** W londyńskim ogrodzie zoologicznym wybuchł niedawno temu zacięty spór na tle dręczenia zwierząt. Jeden z maniaków, wyszukujących gorączkowo, gdzie kto jakiemu zwierzęciu dokucza, wypatrzył, że klatka białych niedźwiedzi w ogrodzie zoologicznym położoną jest ku południowi i oskarżył dyrekcyę zwierzyńca o nieludzkie dręczenie zwierząt, pochodzących z pod bieguna północnego, które się muszą na słońcu smarzyć. Posypały się tedy głosy za i przeciw, a gdy spór wre w najlepsze, udał się ktoś ciekawy do głośnego handlarza zwierząt, Karola Hagenbeka (syna) w Hamburgu z zapytaniem o jego opinię. Hagenbek odpowiedział następującymi faktami:

W czerwcu 1891 r był zakład, tj magazyn dzikich zwierząt Hagenbeka przepełnionym, gdy nadeszła ekspedycya, złożona z kilku lwów, 2 tygrysów i 2 lampartów. Gdzie je podzieć? Próżną była tylko zagroda, przeznaczona dla gruboskórców, z której wychodziły drzwiczki do basenu białych niedźwiedzi. Wszystko to położone było ku południowi. Tu umieszczono tedy nowo przybyłych gości, otworzywszy drzwiczki, które im dozwalały wychodzić do zagrody z basenem.

Pewnego poranku doniesiono Hagenbekowi, że jeden z lampartów dogorywa. Nim Hagenbek przyszedł, chwyciły kurcze i drugiego lamparta W kilku minutach zginęły oba, tygrysy zaś i lwy uwijały się niespokojnie po basenie, na który słońce letnie całą siłą operowało. Wtedy to spostrzegł Hagenbek, że drzwiczek, komunikujących z klatką, krytą dachem, nie otwarto przez zapomnienie i zwierzęta nie mogły szukać spoczynku w cieniu. Naprawiono czemprędzej złe i rozdrażnione zwierzęta rzuciły się do klatki, aby ujść przed promieniami słonecznymi, ale lamparty padły niestety ofiarą. Sekcya wykazała, że oba uległy udarowi słonecznemu.

W niespełna ośm dni po tem zdarzeniu przysłano Hagenbekowi parę pysznych niedźwiedzi polarnych. Zmieniono tedy lokatorów i białe kudłacze dostały się do swej zagrody z basenem. Z klatki, gdzie niedźwiedzie sypiały, wypędzano je około 10 godz. rano do basenu. Tu kąpały się z lubością do południa, lecz potem nie wracały do swego legowiska w cieniu, lecz kładły się na grzbietach w piasku nad basenem, wyciągały łopaty w górę i z największą widocznie przyjemnością pozwalały słońcu najgorętsze południowe promienie zsyłać na potężne ich kudły. Tak leżały ze dwie godziny, a potem właziły znów do basenu. W dniach owych panowała w Hamburgu niezwykła kanikuła, lecz niedźwiedzie nie zmieniały swego trybu życia — nie było im za gorąco.

Otóż wypadek ten dowodzi, że biały kudłacz nie jest wcale miłośnikiem mrozów, chociaż pod biegunem przebywa i że upał słoneczny wcale mu nie szkodzi. Przeciwnie Hagenbek zauważył, że biały niedźwiedź bywa właśnie w zimne dni leniwym, jakby śpiącym i niechętnie idzie do wody. W sporze londyńskim przybywa więc z doświadczeń Hagenbeka ten bardzo niespodziewany dowód, że biały niedźwiedź, mieszkaniec lodów podbiegunowych, wytrwalszym jest na upały, niż koty pochodzące z krajów tropikalnych i że wogóle zwierz północy zdolniejszym jest do aklimatyzacyi niż zwierzęta strefy gorącej.

---

**Ostrygi jako rozszerzacze tyfusu** — oto kwestya, która była na jednem z ostatnich posiedzeń Akademii umiejętności w Paryżu rozpatrywaną. Dr. Chartemesse złożył dowody, że ostrygi przechowywane w basenach, do których dostaje się woda, zakażona ściekami kloakowymi, stają się także zaraźliwe i udzielają tyfusu temu, który je spożyje. Ostryga taka, wrzucona napowrót do wody morskiej, wydziela z siebie po pewnym czasie chorobowe zarazki. Akademia udała się też do władz, ażeby zwróciły baczność na baseny ostrygowe i kazały przed sprzedażą co najmniej przez 8 dni trzymać ostrygi w wodzie morskiej.

---

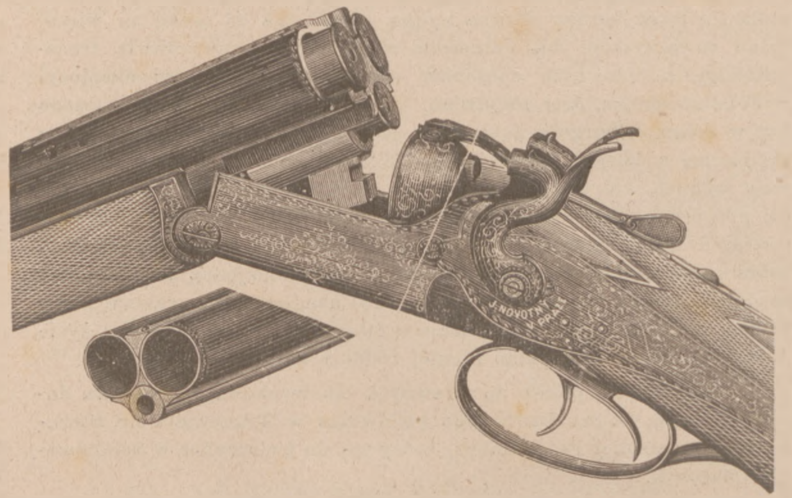
**Czyj pies?** Szlifierz uliczny i szewc-łatacz wzięli się za bary i tak się poturbowali, że w końcu znaleźli się aż w policyi przed panem komisarzem. O cóż im poszło? O pięknego doga. Szlifierz mówił: To mój pies! — szewc odpowiadał: Nieprawda, to mój pies! Trzeba ich było rozsądzić i pogodzić. Lecz który miał racyę? Komisarz policyi znalazł się w kłopocie. Nareszcie wpadł na dobry pomysł. Kazał doga przyprowadzić do kancelaryi.

— Świstajcie! — rzekł do obu powaśnionych.

Szlifierz świsnął i zaczął klepać ręką po kolanie z wielkiem przymileniem — toż samo zrobił szewc łatacz. Pies zbliżył się do jednego i począł warczeć — z kolei podszedł ku drugiemu i jeszcze groźniej warknął, a widząc drzwi otwarte, odwrócił się i wyszedł na kurytarz.

— To pies ukradziony! — rzekł komisarz. — Któryż go ukradł?

Milczenie. — Poszli więc obaj do kozy.









Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.



Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.